

W NUMERZE m.in.: Mówią o niej „Żelazna Dama” (str. 4) ❖ Nie zasypiają gruszek w popiele (str. 5) ❖ Pisanki wodą polewane (str. 6) ❖ Czy jesteśmy przesądni? (str. 7) ❖ „Jahori” znaczy „ogień” (str. 9) ❖ Zgodnie z prawem (str. 12)

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ



ZYCIE

PRZEMYSKIE

Nr 12 (1108)

22 MARCA 1989 R.

CENA 60 ZŁ

PL ISSN 0208-6964

Może się uda

Wielkanoc czy Boże Narodzenie — które święta ważniejsze? Spór wokół tego problemu przeszedł do historii pod postacią jałowej dyskusji — i słusznie: próba ferowania jakichkolwiek wyroków przez mniej lub bardziej domorosłych gawędziarzy, zasługiwałaby jedynie na wzruszenie ramionami.

Dziś zresztą inne sprawy zajmują serca i umysły — sprawy kojarzące się ze stołem, a raczej ze stolami.

Przy świątecznym stole zasiądą miliony ludzi. U jednych będzie on suto zastawiony, u innych skromnie. Ale chyba w każdym polskim domu nie braknie w tym świątecznym okresie rozważań o stole okrągłym, o rozmowach, z których rezultatami tak wielkie wiążemy nadzieje.

Zmęczeni niepewnością jutra, zniecierpliwieni kryzysowymi trudnościami, liczymy, że może się uda...

Może się uda doprowadzić do normalności gospodarki, mocno stawiając ją na nogi.

Może uda się przezwyciężyć podziały i wyrugować nienawiść między ludźmi.

Może uda się usunąć przeszkody hamujące proces narodowego porozumienia, bez którego nie ma mowy o zrobieniu choćby kroku naprzód.

Może uda się wypłenić z naszej rzeczywistości takie pojęcia, jak: arogancja, niekompetencja, znieczulica.

Jak dowodzi historia, przełomowym okresem zawsze towarzyszyły nadzieje i obawy. Dziś także. Wątpliwości jest sporo, ale i немало optymizmu.

Może się uda... A czy jest inne wyjście?

RED.



* WESÓLYCH ŚWIĄT



10 MARCA

W Muzeum w Lubaczowie odbyło się Walne Zgromadzenie Członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubaczowskiej, na którym wysłuchano sprawozdania z działalności za rok ubiegły oraz przyjęto plan pracy na rok bieżący.

11 MARCA

Wicewojewoda Z. Szmuniewski spotkał się z kierownikami miejskich przedsiębiorstw komunalnych i remontowo-budowlanych z terenu Przemysła. Tematem spotkania były aktualne problemy w utrzymaniu i rozwoju tych przedsiębiorstw oraz analiza nowatorskich rozwiązań systemowych wprowadzanych w celu poprawy poziomu usług dla ludności.

Wypracowanie kierunkowych rozwiązań mających na celu usprawnienie działalności handlu i usług — to temat spotkania, w którym udział wzięli wicewojewoda M. Marszał, wiceprezydent Przemysła R. Borysławski oraz kierownicy do jednostek handlowych z terenu miasta.

Wyłoniono laureatów II Wojewódzkiego Przeglądu Plastyki Amatorskiej w kategorii malarstwa i rzeźby. Organizatorem tej imprezy był WDK. W Klubie „Piwnice” otwarto wystawę malarstwa, rysunku, rzeźby i grafiki (do tematu powrócimy).

Na skutek procesu rozkładu wapna palonego w Chłopcach — wybuchł pożar, który strawił stodołę wraz ze stajnią wartości ok. 800 tys. zł. W akcji gaszenia wzięły udział 4 sekcje straży pożarnych.

Bezmyślne podpalenie traw na łące w Starym Dzikowie było przyczyną pożaru lasu, w wyniku czego spłonęło ok. 3 ha posycia leśnego wartości ok. 500 tys. zł. Dzięki energicznej akcji strażaków zdołano uratować drzewostan wartości ok. 6 mln zł.

12 MARCA

Zakończyły się XI Wojewódzkie Konfrontacje Dziecięcych Zespołów Tańcowniczych pt. „Tańcowały Dwa Michały”, w których wzięło udział kilkanaście zespołów reprezentujących szkoły, ośrodki kultury i kluby z terenu województwa (szczegóły za tydzień).

13 MARCA

Odbyło się spotkanie wojewody i wicewojewodów z przedstawicielami władz społeczno-politycznych i administracyjnych Przemysła, którego celem była ocena aktualnego stanu gospodarki miejskiej oraz perspektywicznych kierunków rozwoju miasta. Krytycznie oceniono funkcjonowanie służb handlowych i komunalnych, uznając za niezbędne wprowadzenie nowych inicjatyw, które przyczyniłyby się do bardziej dynamicznego rozwoju tych głównych dziedzin życia społecznego.

Funkcjonariusze milicji zatrzymali 18-letniego Mariana K., mieszkańca Lisich Jam (gm. Lubaczów), który 8 marca br. wieczorem dokonał napadu ra-

bunkowego na księdza i zabrał mu zegarek. Wobec sprawcy, który był już poprzednio karany, prokurator rejonowy w Lubaczowie zastosował areszt tymczasowy.

Do Komisariatu Kolejowego MO w Przemyślu zgłosili się dwaj 27-letni mieszkańcy tego miasta, informując o pobiciu przez nieznanego mężczyznę, który wcześniej zażądał od nich pieniędzy. Milicjanci zatrzymali 22-letniego mieszkańca Przemysła, który miesiąc temu opuścił więzienie po odbyciu 4,5-letniego wyroku. Wobec podejrzanego toczy się postępowanie przygotowawcze.

14 MARCA

Ostry protest przeciwko podwyżce cen biletów autobusowych proponowanej przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej wniósł WPZZ. Związkowcy przedstawili swoją koncepcję podwyżki i poprawienia rentowności przedsiębiorstwa.

Z okazji Międzynarodowego Dnia Inwalidy — dyrekcja, POP, Zarząd Ogniska ZNP oraz Samorząd Uczniowski Zakładu Rehabilitacji Zawodowej Inwalidów w Przemyślu zorganizował uroczystą akademię połączonej z otwarciem prac uczniowskich (do tematu wrócimy).

Zaproszenie ognia podczas prac spawalniczych było przyczyną zapalenia się folii na opakowaniach waty mineralnej w magazynie Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji Służby Zdrowia. Straty oszacowano na około 50 tys. zł.

16 MARCA

Poszukiwane wyroby z wikliny rudnickiej spółdzielni „Wikloplast” można było kupić na jarmarku zorganizowanym w jarosławskim Klubie MPiK.

Rozpoczęły się w województwie „Dni Rzeczypospolitej”, z niezwykle atrakcyjnym programem.

18 MARCA

Z okazji jubileuszu XXX-lecia Przemyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej odbyła się uroczystość, na której PSM u honorowano odznakami: „Za zasługi dla województwa przemyskiego” i złotą CZSBM. Kilku dziesięciu działaczy i pracowników spółdzielni otrzymało odznaczenia państwowe, regionalne i branżowe. M. in. Złotym Krzyżem Zasługi wyróżniono Jerzego Husara; złotymi odznakami „Zasłużony dla budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych” — Otto Geraszka i Jana Jawornickiego; odznakami „Zasłużony działacz ruchu spółdzielczego” — Józefę Boczulak, Marię Draganik i Mariana Pasterskiego.

Po dwuletnim remoncie kapitałnym uroczystość oddano do użytku Wojskowe Centrum Kultury w Przemyślu przy ulicy Grodzkiej.

W kościele OO. Franciszkanów z inicjatywy Towarzystwa Muzycznego w Przemyślu „Capella Cracoviensis”, pod dyrekcją Stanisława Krawczyńskiego, przedstawiła „Pasję wg św. Marka”.

19 MARCA

W miejscowości Wyręby (gmina Dynów) odbył się finał Wojewódzkiej Olimpiady Wiedzy Rolniczej poprzedzony Wojewódzkim Sejmikiem Klubu Przemysłowców Młodych Rolników (do tematu wrócimy).



**SRODA
22 MARCA
PROGRAM I**

- 8.35 i 10.40 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15, 15.50, 19.30 i 22.10 DTV
- 9.25 „Spotkania na lotnisku” — film NRD
- 15.55 Losowanie Express i Super Lotka
- 16.05 Bariery
- 16.25 Scena TDC
- 16.50 Cofak
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Lex
- 17.35 Spojrzenia
- 18.05 Telewizyjny informator wydawniczy
- 18.20 Archiwum XX wieku
- 18.50 Dobranoc
- 19.00 10 minut
- 19.10 Lex
- 20.05 „Długie pożegnania” — film ZSRR
- 21.40 Lex
- 21.50 Raport
- 22.20 Rozmyślenia prof. Mariana Sępnia
- 22.30 „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha” — monodram
- PROGRAM II**
- 16.55 Język rosyjski (21)
- 17.30 Wiem wszystko
- 18.00 Kronika z Krakowa
- 18.30 Magazyn reporterów
- 19.00 Rzeczpospolita nieznaną (7)
- 19.45 „Xerxes” — reportaż
- 21.10 Studio sport
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Oj zgłoś się”
- 22.45 Telewizja nocą
- 23.30 Komentarz dnia

**CZWARTEK
23 MARCA
PROGRAM I**

- 8.35 i 10.30 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15, 15.55, 19.30 i 22.50 DTV
- 9.25 „Osmiornica” (2) — film wł.
- 11.00 Magazyn wspomnień: Lwow
- 16.00 Polonijne spotkania Zakopane '89
- 16.25 Kwant
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Kultura i sztuka w województwie
- 17.55 „Turki”
- 18.20 Sonda
- 18.50 Dobranoc
- 19.00 10 minut
- 19.10 Teraz
- 20.05 „Osmiornica” (2)
- 21.10 Pegaz
- 22.00 Wokół wielkiej sceny
- 23.10 Język francuski (21)
- PROGRAM II**
- 10—12 „Tele-9”
- 16.55 Język francuski (21)
- 17.30 Rodzice i dzieci
- 18.00 Kronika z Krakowa
- 18.30 Magazyn „102”
- 19.00 Muppet show
- 19.30 Puls
- 20.00 Psychodrama Joanny Rawik
- 20.50 Tryptyk o Męce Pańskiej
- 21.00 Ekspres reporterów
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Studio Teatralne Dwójki
- 22.40 Komentarz dnia

**PIĄTEK
24 MARCA
PROGRAM I**

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15, 16.05, 19.30 i 22.50 DTV
- 9.40 „Klepsydra” — radz. film fab.
- 16.10 Radar
- 16.25 Ramię
- 16.50 Okienko Pankracego
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Kajakiem w Himalaje” — film dok.

- 18.50 Dobranoc
- 19.00 10 minut
- 19.10 Monitor rządowy
- 20.05 Teatr TV: „Misterium Wielkanocne”
- 21.30 Czas
- 22.05 Popularne arie operowe
- 23.05 Ludzie przeciw sobie
- PROGRAM II**
- 17.30 „Czemu mnie wolasz?”
- 18.00 Kronika z Krakowa
- 18.30 Ludzie, o których się mówi
- 18.50 Polska Kronika Filmowa
- 19.00 „W labiryncie” (12)
- 19.30 Listy Stanisławy Praybszewskiej
- 20.05 Festiwal Muzyki Krzysztofa Pendereckiego '88
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Udręka i ekstaza” — film fab.
- 22.40 Komentarz dnia
- 23.45 Nocne Polaków rozmowy

**SOBOTA
25 MARCA
PROGRAM I**

- 9.00 Drops
- 10.30, 19.30 i 22.20 DTV
- 10.40 Stare, nowe, najnowsze
- 11.20 „Bo ehecałi wiedzieć przodków swych dzielności...”
- 11.50 Telewizyjny koncert zyczeń
- 12.20 „Gospoda Pod Królową Gęsią Nóżką” — teatr TV
- 14.40 Pieprz i wanilia
- 15.25 „Pożegnania” — pol. film fab.
- 17.05 Losowanie Dużego Lotka
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Antena
- 17.50 Gdzie są taśmy z tamtych lat
- 18.30 Butik
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Z kamerą wśród swierząt
- 20.05 „Podwodna odyseja” — kanad. film sens.
- 21.45 Tydzień w polityce
- 21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
- 22.15 Program muzyczny
- 23.30 „Gniew aniołów” (1) — film USA
- PROGRAM II**
- 10—12 „Tele-9”
- 12.00 Trzy godziny z Telewizją Katowice
- 15.00 Male kino
- 15.30 „5-10-15”
- 17.00 Marian Hemar: „Wiersze i piosenki”
- 18.00 Kronika z Krakowa
- 18.30 „10 razy piosenka” — reportaż
- 19.30 Wielkanocne obrzędy
- 20.00 Festiwal Muzyki Krzysztofa Pendereckiego '88
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Raj odłożony na później” (9) — serial ang.
- 22.35 Komentarz dnia
- 22.40 „W labiryncie” (12) — serial TP
- 23.10 „Śpiewa Grzegorz Turnau „Piwnicy pod Baranami”

**NIEDZIELA
26 MARCA
PROGRAM I**

- 8.50 „Smok, którego nie było, a może był” — holend. film anim.
- 10.15 Koncert życzeń
- 11.15 „Będzie lepiej” — film TP
- 12.55 Teatr Młodego Widza
- 13.50 „Bobek — czyli jedenaście wcieleń Bogumiła Kobiel”
- 15.10 „W kamiennym kręgu”
- 17.15 Teleexpress
- 17.35 Postscriptum „W kamiennym kręgu”
- 17.50 Marek Sierocki zaprasza
- 18.25 „Smurfolandia” — program rozrywkowy
- 19.00 Smurfy
- 19.30 DTV
- 20.05 „Bzeka kłamstwa” (4)
- 21.30 „Serce pali się raz”
- 22.15 Sportowa niedziela
- 22.35 Komentarz dnia
- 22.45 „Gniew aniołów” (2) — film USA
- 6.15 Superwizja
- PROGRAM II**
- 8.45 Przegląd tygodnia i „Rzeka kłamstwa” (dla niesłyszących)

Za zmiany w programie redakcja nie odpowiada.

- 11.45 „Konspiracja u króla Jana”
- 12.20 100 pytań do...
- 13.16 „Polacy” — film dok.
- 14.00 „Podróż Natty Gann” (1) — film USA
- 14.50 Podróż w czasie i przestrzeni
- 15.40 Z batutą i z humorem
- 16.25 Gawęda prof. Wiktora Ziłna
- 16.40 Kino-Oke
- 17.30 Bliżej świata
- 19.00 Wywiady Ireny Dąbrowskiej
- 19.30 Arle dawnych mistrzów
- 20.00 Studio sport
- 20.50 „Zapraszam was do stołu”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Wichry wojny” (2) — serial USA
- 22.35 Komentarz dnia
- 22.40 Musicale

**PONIEDZIAŁEK
27 MARCA
PROGRAM I**

- 8.50 „2000 mil podmorskiej żeglugi” — film USA
- 10.55 Świat cyrku
- 11.55 „Antyfony de Frasobliwego” — film dok.
- 12.25 Teatr Młodego Widza
- 13.30 „Czas przebudzenia” — film dok.
- 14.00 „Z jajem w herbie” — reportaż
- 14.25 „Kaskader” oraz „Miłośnicy ryzyka” — filmy dok.
- 15.20 „Gwiezdne wojny” — film
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Teatr TV
- 19.00 Smurfy
- 19.30 DTV
- 20.05 „Jeśli się zgodzi, nie powiem nie” — komedia fr.
- 21.40 Piwnica „Pod Baranami”
- 22.35 San Remo '89
- PROGRAM II**
- 11.35 „Podróż Natty Gann (2) — film USA
- 12.25 15.00 i 17.30 Dlaczego nie
- 12.50 „Jubileusz Jana Pawła II” — reportaż
- 13.25 „Muppety jadą do Hollywood” — film USA
- 15.25 100 pytań do...
- 16.05 „Polacy” — film dok.
- 17.00 Podróż po klawiaturze Andrzeja Sobieskiego
- 18.10 „Jarocin” — reportaż
- 19.00 Magazyn „102”
- 19.30 Rzeźba roku
- 20.00 Spotkanie z Martą Eggerth
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Wyspy na Golfstronie” — film USA
- 23.30 Komentarz dnia

**WTOREK
28 MARCA
PROGRAM I**

- 8.35 i 11.00 — Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15, 16.00, 19.30 i 22.50 DTV
- 9.40 „Evita Peron” (2)
- 16.05 Gazeta rolnicza
- 16.25 Tik-Tak
- 16.50 „Cudowna podróż”
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Adwokat z Old Bailey (3) — serial ang.
- 18.30 Klinika zdrowego człowieka
- 18.50 Dobranoc
- 19.00 10 minut
- 19.10 Klub konsumenta
- 20.05 „Evita Peron” (2)
- 21.40 Konferencja prasowa rządczka
- 22.05 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej
- 22.50 Echo dnia
- 23.10 Język angielski (21)
- PROGRAM II**
- 10.00 — 12.00 „Tele-9”
- 16.55 Język angielski (21)
- 17.30 Szokujące nowości — u progu sztuki współczesnej (4)
- 18.00 Kronika z Krakowa
- 18.30 „Apartheid” (3) — film dok. ang.
- 19.30 Kolorowy zawrót głowy
- 20.00 Non-stop-kolor
- 21.00 Program publicystyczny
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 „Dorastanie” (5) — serial TP
- 22.45 Komentarz dnia

**ZYCIE
PRZEMYSKIE**

TYGODNIK PZPR

ukazuje się od 8 XI 1967 r.

Numer oddano do druku 14 bm. Bliki — 17 i 18 bm.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Rzeszowskie Wydawnictwo Prasowe, 35-016 Rzeszów, ul. Hoffmanowej 3, tel. 304-71. Dyrektor Józef Krajnik tel. 354-12.

REDAGUJE ZESPÓŁ: Zdzisław Besz, Alicja Bogusławska (sekr. red.), Leonard Czajka (zast. red. nac.), Czesław Duśko, Edward Kmiecik (red. graficzny), Jerzy Makara, Zygmunt Marciak (red. nac.), Jan Miśczak (kier. działu), Robert Pawłowski (fotoreporter), Waldemar Skowron (red. techniczny), Barbara Sykała, Zdzisław Szeliga, Wiesław Wojcieszonek, Zbigniew Ziembolowski **KOREKTA:** Maria Szymczyk i Janina Włoch.

ADRES REDAKCJI: 37-700 Przemyśl ul. Waryńskiego 15 (III p), tel. 22-00 i 73-84.

OGŁOSZENIA przyjmują: sekretariat redakcji Biuro Ogłoszeń i Reklam w Rzeszowie przy ul. Hoffmanowej 3 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Rzeszowskie Zakłady Graficzne w Rzeszowie, ul. Marchlewskiego 19.

INFORMACJI O PRENUMERACIE udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. **PRENUMERATĘ ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĘ** przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa. P.B.K. XIII Oddz. Warszawa 370044-1195-139-11.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca, zastrzega sobie również prawo opracowywania nadsyłanych tekstów ze skracaniem włącznie.

Nr indeksu 30512 PL ISSN 0208-6904. Nakład 42 100. S-3

Wizyta lwowskich Polonusów

Na tę wizytę czekali długo — dostownie, jak i w przenośni. I oto 8 marca br. na przejściu granicznym w Medyce stawiła się niewielka grupa osób. Obecność szefa polskiego konsulatu we Lwowie, Włodzimierza Wojskowskiego świadczyła o tym, iż nie jest to wizyta tuzinkowa i rutynowa.

Po polskiej stronie granicy na gości ze Lwowa oczekiwali przedstawiciele politycznych i administracyjnych władz województw przemyskiego i rzeszowskiego, działacze rzeszowskiego oddziału Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, dziennikarze. Po sprawniej odprawie celno - paszportowej powitali oni lwowian — sześciuosobo-

wą delegację działaczy polonijnych, członków zarządu utworzonego niedawno Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

Towarzystwo działa dopiero od niedawna. Swoim zasięgiem obejmuje obszar obwodu lwowskiego. W wielu miastach tworzone są oddziały, zgłaszają się nowi ludzie. Wszystko jest więc na razie w „rozruchu”. Statutowe cele i zadania są jednak jasno sprecyzowane.

— Działalność kulturalna spełnia bardzo ważną rolę integrującą — stwierdza przewodniczący zarządu towarzystwa LESZEK MAZEPA, z zawodu muzykolog, kierownik katedry kompozycji Konserwatorium Lwowskiego — i tę szansę będziemy się starali wykorzystywać, zakładając oczywiście pełną otwar-

tość na propozycję i dokonania innych. Pragniemy, najogólniej mówiąc, popularyzować polską kulturę, kultywować tradycje i obyczaje, dbać o zachowanie języka polskiego. Mam nadzieję, że kontakty z towarzystwem „Polonia” walnie nam w tym pomogą...

— Jest obecnie sprzyjający klimat do prowadzenia działalności kulturalnej wśród Polonii obwodu lwowskiego — dodaje WŁADYSŁAW ŁOKIETKO, nauczyciel w jednej z polskich szkół we Lwowie, autor podręczników szkolnych. — W Polsce również organizuje się różnorodne akcje na rzecz zamieszkałych w Związku Radzieckim rodaków. Chodzi jednak o to, aby działania te jakoś skoordynować, zaplanować, aby nie miały one przypadkowego charakteru, aby mimowolnie nie marnować efektów serdecznego ludzkiego odruchu. O tych i innych sprawach będziemy rozmawiali z działaczami towarzystwa „Polonia”...

Pierwsza wizyta przedstawicieli Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, miała nie tyle oficjalny, co przede wszystkim roboczy charakter. Dla niektórych stanowiła nawet pewnego rodzaju sensację. Przetarto więc pewien szlak. Wszyscy mają teraz nadzieję, że dalsze kontakty, nie tylko z rzeszowskim oddziałem towarzystwa „Polonia”, ale i z wieloma innymi placówkami, a przede wszystkim ludźmi życzliwymi poczynaniom naszych lwowskich rodaków, okażą się stałe, stabilne i owocne, czyli — po prostu — normalne.

(zs)

Fot. R. P.



Cebula przynosi zdrowie



Cebula przynosi zdrowie



JAROSŁAW

Miejski Ośrodek Kultury

2 III, godz. 8.15, 9.30, 10.45 i 12 — Bajki dla dzieci: „Pies Pucek i jego pan Mietek”.

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki

23 III, godz. 16-18 — TELEFON ZAUFANIA (58-44) — dyżur prawnika, psychologa i lekarza.

Wystawy: Jerzego Malinowskiego „Fotografie z Ameryki”; „Grafika w reklamie”; malarstwo Franciszka Maśluszczaka.

Kino „Westerplatte”

22 III — „Łabędzi śpiew” (pol. l. 15).

24-25 i 27-28 III — „Samotny wilk Mc Quade” (USA l. 15).

LUBACZÓW

Miejski Ośrodek Kultury

22 III, godz. 15 i 16.30 — Klub Tańca Towarzystwa dla dzieci i młodzieży.

24 III, godz. 17 i 19 — Projekcja filmów fabularnych wideo.

Wystawa ze zbiorów BWA w Przemysiu.

Kino „Melodia”

22-24 III — „Nowy Jork — 4 rano” (pol. l. 15).

27-28 III — „Protektor” (USA l. 18).

PRZEMYSŁ

Wojewódzki Dom Kultury

22 III, godz. 11 i 13 — Teatr Kacperek: „Od wiosny do lata”; godz. 17 — „Kolorbrzeg '89” — eliminacje wojewódzkie.

DYŻURY APTEK:

JAROSŁAW: Rynek 13 (do 20 bm.); ul. Kraszewskiego.
PRZEMYSŁ: stałe dyżurują apteki przy ul. Franciszkańskiej i Lelewela.



Strażacy z Roźwienicy

Przede wszystkim prewencja...

Gmina Roźwienica, jedna z 9 w tzw. rejonie jarosławskim jest jedyną, na terenie której nie zanotowano w ub. roku pożaru!

W każdej z 11 wiosek tej gminy działa jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej. Zwykle się mówi i pisze o operatywności strażaków, biorąc za podstawę oceny sprawność sprzętu, wyszkolenie oraz ofiarność i poświęcenie w trakcie działań ratowniczo-gaśniczych. Niezwykle natomiast lekceważą się czas poświęcony przez strażaków na działalność prewencyjną, która — jak widać — przyniosła tu pełny sukces. Rzetelnie prowadzone kontrole stanu ochrony przeciwpożarowej, czuwanie nad usuwaniem stwierdzonych uchybień, liczne instruktaże w zakresie zasad ppoż. wśród rolników, pogadanki w szkołach i na zebraniach

wiejskich, stałe omawianie zagadnień ochrony przed pożarem na sesjach GRN, spotkaniach samorządów mieszkańców i na naradach sołtysów oraz współpraca z organizacjami społecznymi i młodzieżowymi — to podstawowe, ale nie jedyne formy działalności prewencyjnej tułej strażaków — ochotników.

Uczestników tej godnej naśladowania działalności było wielu: naczelnik gminy Kazimierz Siemiński (prezes Zarządu Gminnego Związku OSP), Adam Oleha — komendant gminny OSP, Andrzej Solowij — kierownik OSP, w Roźwienicy oraz 263 czynnych członków Ochotniczej Straży Pożarnej, którzy walnie przyczynili się do tego, że w ub. roku „czerwony kur” nie piał w gminie ani razu.

Oprac. (ivo.)

Kobieta w mundurze

Pani doktor idzie do wojska!

Decyzją ministra obrony narodowej rozpoczęto w całym kraju nabór kandydatek do zawodowej służby wojskowej w korpusie medycznym. Przyjmowane doń będą lekarki — także dentystki — i farmaceutki (górna granica wieku — 35 lat). Szczegółowych informacji w naszym regionie udziela Wojewódzki Sztab Wojskowy w Przemyslu oraz wojskowe komendy uzupełnień w Przemyslu i Jarosławiu.

(bz.)

W „Profilach”

Ballada o Mariuszkę

Mariuszek jest dobrym chłopcem, tylko ma jedną słabość: co jakiś czas musi porwać samochód. Uprowadził autobus i przez tydzień wspomagał PKS na bieszczadzskich trasach. Tyle że zarobkiem nie dzielił się z szacownym przewoźnikiem, no i drobiazg... nie ma prawa jazdy. Dostał za to dwa lata z zawieszaniem. Już dwa tygodnie później ukradł samochód transportu leśnego w Hukniewach. Wpadł tego samego dnia na przemyskiej ulicy.

Zaczynał Mariuszek niewinnie — od „pożyczenia” roweru, potem motoroweru. Za „pożyczenie” samochodu będzie miał przerwę w życiu. Co stanie się, kiedy wyjdzie z więzienia, czy zapagnie zrealizować dziecięcą jeszcze obietnicę uprowadzenia samolotu?

Balladę o Mariuszkę podała do druku w marcowym numerze „Profilów” JUSTYNA WOŚ-NYCZ-KOWA.

Inflacja

Przez parę poprzednich lat inflacja „udawała się” utrzymywać na poziomie ok 25 procent. Oficjalnie. I dwa razy wyższym, według bardziej realistycznych obliczeń. Oficjalne rachunki uwzględniają np. fakt, że w ciągu roku kolorowy telewizor podrożał o połowę, ale w ogóle nie biorą pod uwagę „górkę” koniecznej, aby go nabyć naprawdę, a ona wzrosła dwukrotnie. Oficjalnie maluch podrożał o milion złotych, ale dla tych, którzy chcą go naprawdę kupić, czyli na giełdzie, podrożał o dwa miliony. Pieczywo podrożało o 15 procent, ale przy co drugim zakupie udaje się nabyć tylko te gatunki, które podrożały o 25 procent i to wali w budżety rodzinne bardziej niż milionowe podwyżki na samochody. Ceny butów i ubrań uwzględniane w rocznikach statystycznych dotyczą od lat zaledwie kilku procent asortymentu i dlatego też realnie spokojnie podawają co roku wskaźnik inflacji, lokując się bliżej prawdy.

W ubiegłym roku rząd wkopał sobie samobójczą bramkę w postaci operacji dochodowo-cenowej i podwoił wskaźnik inflacji. Przyznaje się do 60 procent. Chyba też wypada podwoić Zresztą, mamy miernik syntetyczny, łatwo dostępny. Na poprzedniego sylwestra dolar był po 1400 złotych, na obecnego po 3500, czyli 150 procent. Jeśli to trochę na wyrost — dolar zjechał do 3100 — to niech będzie to 120 procent i nie idziemy do wójta. Zresztą, dolar to nie tylko przelicznik, ale i czynnik cenotwórczy. Wystarczy, że coś w „Pewexie” i na Zachodzie kosztuje dolca, by u nas musiało dzisiaj kosztować czwórka, bo koszty i jaki taki zarobek.

Czynnikami cenotwórczym jest cena węgla, prądu, benzyny i oleju napędowego. Lecz także podatki, a głównie podatek obrotowy. W książce na przykład stanowi on 60 procent ceny, w telewizorach kolorowych o wiele więcej. Czynnikiem cenotwórczym jest strach przed kontrolą i niepewność jutra w biznesie: trzeba się nachać paki można i uwzględnić koszty ewentualnej — lub pewnej — łapówki dla kontrolerów, którzy ponoć wykonują swój obowiązek w interesie klienta.

W ogóle jest tych czynników napędzających cenę multum. W tym płace. Lecz płace w przemyśle nie osiągały średnio nawet 10 procent produkcji sprzedanej — w przedwojennej Polsce przekraczały 20 proc. — więc one akurat w niewielkim stopniu nakręcają inflację. Stawiając gospodarce z głowy na nogi, warto wziąć to wszystko pod uwagę. E. S.

K OBIETA ZAJMUJĄCA EKSPONOWANE, a uchowaj Boże — „męskie” stanowisko, to wciąż jeszcze rzadkość. Zadanie dla socjologów: dlaczego tak jest? Czy wpływa na to typowo kobiece „chciałaby a boi się”, czy też to decydenci obsadzający ważne stanowiska obawiają się, że słaba pleć nie podda obowiązkowi przypisanym przecież wieloletnią tradycją mężczyznom? Zapewne i jedno, i drugie, ale w jakimś stopniu także to trzęcie — „gdzie diabeł nie może”...

ANNIE KOWALSKIEJ — I sekretarzowi KMG PZPR w Dynowie — nie zadaje wprost pytania co zadecydowało o jej wyborze na „stolek” który zajmuje nieprzerwanie od 1980 roku. Interesowało mnie bardziej coś innego: jak czuje się kobieta „na stanowisku”, czy zachowuje swoją kobiecość i... w jakim stopniu ją traci „przesiadając” cechami męskimi?

„Jeśli kobieta chce zachować swoją kobiecość, to musi pamiętać że są jednak takie dziedziny i takie problemy, w których — chcąc osiągnąć powodzenie — trzeba się pewnych cech kobiecości wyżyć”...

Nie może być inaczej, jeśli ogromna większość interesantów i partnerów urzędowych czynności, to mężczyźni. Bywa, że trzeba się do nich niekiedy bardzo upodobnić, przejmując ich styl bycia, zachowania się, podejmowania decyzji. Czasem trzeba też rzucić jakimś „mocnym” słowem, uderzyć pięścią w stół. Przejmowanie w pracy, nawet chwilowe, cech męskich, nie pozostaje bez wpływu na życie rodzinne i towarzyskie; trudno już żyć ściśle według „babskiego scenariusza”: dzieci — dom — mąż — rodzina. To cena, jaką trzeba zapłacić za zawodowy awans i społeczną rangę pełnionej funkcji.

„Kobieta z natury rzeczy musi być uparta, bo inaczej — może to niebýt ładnie zabrzmiało — „zgnoją” ją na stanowisku, zlamiają”...

Rzeczywiście, w wielu sprawach kobiecie znacznie łatwiej działać niż mężczyźnie w tej samej zawodowej roli — ma niekiedy większą siłę „przebiecia” i nie da się tak łatwo zbyć mało konkretnymi obietnicami i zapewnieniami składanymi przez ludzi stojących „nad” nią. Nie raz typowo „babski” upór doprowadza do szczęśliwego sfinalizowania wielu spraw, z którymi panowie na podobnym stanowisku tak łatwo by sobie nie poradzi. Cóż, odrobina kobiecej kokleterii działa „ocieplająco” nawet na ministrów pomnych również męskiej maksymi, że „kobieta odmówić nie przystoi”. Niekiedy mile słowo czy żart znaczą więcej niż najlepsze „podchody” czynione „pod” zwierzchnika przez podległych mu panów na stanowiskach.

„Kobieta musi być uparta i pewna swego, ale nie może żyć w przekonaniu, że ma patent na mądrość i nieomylność”...

Są decyzje i zawodowe przedsięwzięcia, które bezwzględnie wymagają konsultacji, szerokiej społecznej opinii. Kobieta intuicja i, mimo wszystko, daleko posunięta ostrożność nakazują, aby czynić to w najdrobniejszych nawet sprawach. Stroną konsultacyjną są przeważnie, mężczyźni. W gminie mającej w swych granicach 10 wie-

Mówią o niej: „Żelazna Dama”

sek oznacza to konieczność odwiezienia każdej z nich przynajmniej raz w miesiącu. To podstawowe zadanie, jeśli chce się być „bliżej życia”, czego nie zawsze przestrzegają panowie na stanowisku zbyt często zawierający tylko widokom z okna swojego gabinetu i służbowego samochodu. A czasem, chcąc nie chcąc, trzeba ubrać gumiaki i ruszyć na przełaj przez pola. To procentowo poszerzoną wiedzą o ludziach i problemach, którymi żyją; pomaga podejmować decyzje odzwierciedlające interes większości a nade wszystko zwiększa jej zaufanie do kogoś, kto siedzi na „stolku”...

„Kariera zawodowa i sukcesy w niej osiągnięte — a bywają i porażki — wpływają na życie osobiste i rodzinne, na dzieci i ich wychowanie”.

Mężowie zazwyczaj bez entuzjazmu przyjmują awanse zawodowe swych żon, bądź też zachowują wobec nich pewien dystans. Z czasem przyzwyczajają się, godzą na przejmowanie domowych funkcji, które do niedawna uchodziły za czysto „babskie”. Inaczej wygląda w takich rodzinach rozkład domowych zajęć, w innej sytuacji są dzieci, które — to plus — znacznie szybciej usamodzielniają się. Dzieci mają bowiem zwiększone poczucie obowiązku, mocniejszą wewnętrzną dyscyplinę i są, krótko mówiąc, lepiej przygotowane do życia.

„Wydaje się, że po przyjęciu z pracy, kobieta zajmuje się już tylko i wyłącznie domem ale tak nie jest”.

Czas wolny — dla męża i dzieci. Ale trzeba też przeczytać prasę, oglądać telewizję, przewertować sterty dokumentów, aby mieć jak najlepsze rozeznanie w tym, co się wokół dzieje. Bywa, że

dzień pracy kończy się o pierwszej w nocy, a zaczyna o siódmej rano...

„W obecnych trudnych gospodarczo czasach kobieta ma większe predyspozycje do pełnienia kierowniczych funkcji niż mężczyzna”.

Kiedyś, dziesięć lat temu, rządzić i kierować było stokrót łatwiej niż obecnie. Istniała instytucja „jednego telefonu”, były rozdzielniki i nakazy. Teraz trzeba o wszystko walczyć, zdobywać, załatwiać, czasem — po prostu — „glówkować”, a to co się wywalczy musi być odpowiednio wykorzystane: nic nie może się zmarnować. Przypomina to dom, który trzeba utrzymać z pomocą tego, co się ma, nie licząc na mannę z nieba. Kobieta gospodarność i zapobiegliwość, przeniesiona na urzędowe stanowisko procentuje: teren działania staje się „domem”, który trzeba utrzymać na miarę możliwości, wzbogacając o to, co uda się jeszcze wygospodarować. A kto, jak nie kobieta, potrafi zrobić „coś z niczego”? Kto jak nie ona, dostrzeże gdzie są rezerwy, a gdzie niepotrzebne straty?

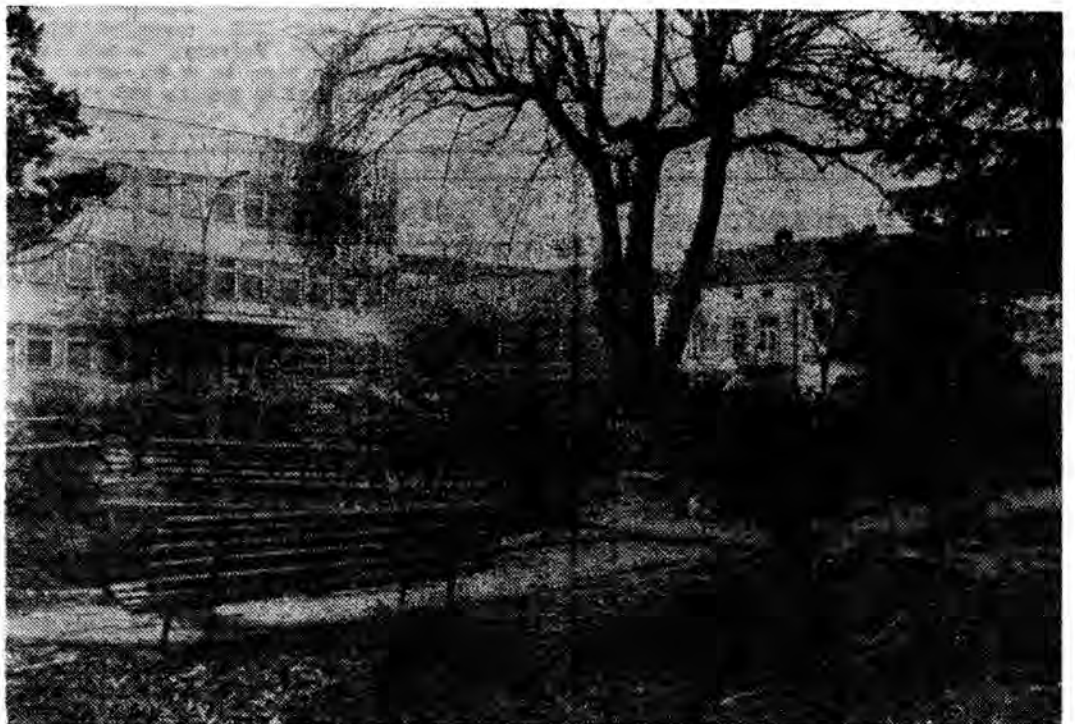
„Kobieta na stanowisku w miarę upływu lat „twardnieje”: dla jednych jest to typowo „babski” objaw, dla innych konsekwencja pracy w męskim otoczeniu”.

Można z czasem „zarobić” na jakiejś, mniej lub bardziej przyjemnej, przewizce. Bywa, że i na miano „Żelaznej Damy”, której synonimem jest premier Wielkiej

Brytanii Margaret Thatcher, ale to też o czymś świadczy: o konsekwencji w działaniu i odpowiedzialności za podejmowane decyzje oraz składane wyborcom obietnice. Nie raz przyjdzie przyjąć w gabinecie ludzi, którzy mówią wprost: — No, bo kto nam to załatwi, jak nie pani, kto nam pomoże? — Tym razem byli to, powiedzmy, rolnicy z Pawiokomy, których cukrownia zawiodła, nie wywiązując się z obowiązku zapewnienia wysłodków. Kto przyjdzie jutro, pojutrze — nie wiadomo, ale z pewnością gość (petent) nie odejdzie w przekonaniu, że został najzwyczajniej w świecie „urzędowo załatwiony”, co się w męskich gabinetach zdarza dość często.

Miasto i gmina Dynów to rejon, w którym kobiety „na stanowisku” nie są rzadkością, w przeciwieństwie do wielu innych stron województwa. Sołtyśka „rządzi” największą wioską (Hartą), dyrektor „Igłopolu — Fermstalu” ma zastępcę w spółnicy, dwie panie są wiceprezeskami w miejscowej spółdzielni inwalidów, nie mówiąc już o dyrektorach szkół. Skąd się tu wzięła ta moda na powierzanie paniom odpowiedzialnych funkcji? W jakimś stopniu na pewno z przekonania, że kobiety potrafią nieźle rządzić i gospodarować, a jeśli tak, to przykład „Żelaznej Damy” (pełniącej niegdyś również funkcję przewodniczącej Rady Narodowej Miasta i Gminy) też musiał mieć w tym pewien udział.

Z. BESZ



Miasto i gmina Dynów to rejon, w którym kobiety „na stanowisku” nie są rzadkością. Fot. R. PAWŁOWSKI

RYZYKANCY?

Przed kilku laty bardzo modne było w całym kraju podejmowanie dodatkowej produkcji na rzecz rolnictwa głównie w zakresie drobnego sprzętu i części zamiennych. Województwa prześcigały się, kto da więcej. W krótkim czasie rywalizacja zaowocowała nadwyżką podaży nad popytem. Rynek się nasycił, kłopoty ze zbytem zaczęły mieć kiepscy producenci i odpadli z konkurencji. Teraz „Agroma” — tak przynajmniej twierdzą w Wydziale Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej UW — panuje nad sytuacją.

Na dobrą sprawę, mało jest takich zakładów, które wykorzystują w całości swój potencjał produkcyjny. Wśród głównych przyczyn, najczęściej wymieniane są: niedostateczne zaopatrzenie materiałowo-surowcowe, kłopoty kadrowe, brak pieniędzy na uzbrojenie stanowisk pracy w nowoczesne, wydajniejsze maszyny i urządzenia. Rozwiązać temu nie trzeba, bo problemy te są powszechnie znane. Nie dopracowaliśmy się japońskiej punktualności: kooperanci często nie wywiązują się należycie ze swych powinności, a będąc niejednokrotnie monopolistami nie boją się zerwania współpracy. Na tej walce o godność „ważniejszego”, traci cała gospodarka. Monopolisci są na razie górą, lepiej z nimi żyć w zgodzie, bo niejednokrotnie dochodzenie swoich racji kończyło się dla interweniującego połowicznym sukcesem — karę umowną wyegzekwował, ale dostawę utracił. Takie są, niestety, realia w sytuacji nierównowagi rynkowej.

Co zatem lepiej robić: siedzieć z założonymi rękami i czekać aż rozchwilany rynek wróci do normy, czy raczej zaryzykować i — mimo trudności — podjąć się produkcji wyrobów, które mają szansę znalezienia odbiorców?

Zwolennikiem tej drugiej koncepcji jest np. założyciel Spółdzielni Kółek Rolniczych w Przemysławiu (z siedzibą w Grochowcach), która przed kilku laty zaczęła produkować, nie zaniedbując swojej statutowej działalności, grzejniki olejowe. Rynek jest chłonny, zbyt zapewniony, toteż w roku bieżącym planuje się dostarczyć na rynek 10 tys. grzejników (w ub. r. — 4,5 tys. szt.). Jak zapewnia dyrektor — spółdzielnia nigdy nie robiła interesu na usługach rolniczych. Ceny za nie są już i tak dość wysokie, nie więc dziwnego, że aby firma nie podupała ekonomicznie, co mogłoby zdzielić załogę (zażyczyłyby się poszukiwania za lepszą płatną robotą), a tym samym postawić spółdzielnię i rolników w trudnej sytuacji — trzeba było odważyć się na podjęcie nietatwej decyzji. Ryzyko, co widać po latach opłaciło się i procentuje w dwójki sposób — na rynku pojawił się towar poszukiwany, a w SKR jak się ktoś dobrze do roboty przyłożył, to miesięcznie może zarobić nawet i 150 tys. zł! Spółdzielnia nie poprzestaje na grzejnikach, w tym roku zamierza rozszerzyć zakres usług o prace budowlane oraz... Ale szaf! Na razie to tajemnica, w obawie przed konkurencją.

Z propozycją podjęcia się produkcji urządzeń na rzecz rolnictwa ma wystąpić wkrótce Wydział Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej UW — taką informację uzyskaliśmy od dyrektora wydziału. POM-y i SKR-y będą mogły dużo dobrego zrobić w kierunku zwiększenia zainteresowania hodowlą bydła mlecznego, o ile — rzecz jasna — przyczynią się do zmniejszenia uciążliwości pracy robotników, produkując potrzebne im w gospodarstwach urządzenia z zakresu małej mechanizacji jak np. zgarniacze obornika.

Kto następny?

(waj)



Przedsiębiorczy z Lubaczowa

NIE ZASYPIAJĄ GRUSZEK W POPIELE

Dzisiaj właściwie trudno dokładnie umiejscowić w czasie narodzin tej inicjatywy. Jedno jest wszakże pewne — ideę budowy nowego szpitala w Lubaczowie zrodziła potrzeba, a nie — jak niektórzy impetują — pazerność miejscowej władzy. Ten, który do dzisiaj służy pacjentom, oddano do użytku w 1896 r., a więc za parę lat będzie obchodził dostojeń jubileusz.

Pierwsze pomysły związane z budową szpitala niektórych lubaczowianom zaczęły chodzić po głowie jeszcze w latach sześćdziesiątych i dawali temu wyraz w trakcie różnych zebrań oraz kampanii wyborczych. A na początku lat siedemdziesiątych — jak przypomina sobie JAN BOGUSZ, szef Miejskiej Rady Narodowej — o inicjatywie tej mówiono już już chyba na każdym spotkaniu. I wtedy zaczęło wydawać się, że idea zacznie się materializować. Oto bowiem, bodajże w 1973 r., Urząd Wojewódzki w Rzeszowie miał opracowaną dokumentację obiektu o 271 łóżkach (podobny zbudowano później w Przeworsku). Władze Lubaczowa przygotowały teren, pozyskano też inne przedsięwzięcia i cierpliwie czekano na rozpoczęcie inwestycji. Niestety, nie doczekano się, bo przeszkodził temu... nowy podział administracyjny kraju — Lubaczów znalazł się w województwie przemyskim, ale środki na budowę szpitala pozostały w rzeszowskim (zbudowano za nie podobny obiekt w Leżajsku). Można sobie wyobrazić, jak poczuł się wtedy ANTONI ZIĘTEK, ówczesny dyrektor miejscowego Zespołu Opieki Zdrowotnej, który był jednym z animatorów tej inicjatywy... Lubaczowowi znów pozostały tylko ambicje i — mimo dotkliwego ciosu — jednak nadal społeczne zaangażowanie. Aby nie oddalić się od prawdy dodajmy jeszcze, że miastu została także dokumentacja, którą później aktualizowano, bo żywno nadzieję, że przeciw nikt nie zlekceważy tej inicjatywy — zwłaszcza że zyskała ona społeczne poparcie.

Kolejny proryk nadziei zaświtał w 1973 r., gdy ówczesny szef resortu zdrowia pisemnie zapewnił lubaczowskie władze, że budowa szpitala w tym mieście znalazła się wśród priorytetowych inwestycji służby zdrowia. Również władze wojewódzkie — jak twierdzi J. Bogusz — nie odbierały nadziei — zapewniając, że jak skończy się budowa szpitala w Przeworsku, to zacznie się w Lubaczowie. Deklaracje te — jak można dzisiaj sądzić — składano, bo wtedy panowało przekonanie, że szpital w Przemysławiu będzie inwestycją centralną. Niestety, tak się nie stało i lubaczowska inicjatywa znów trafiła na boczny tor.

Aby nie czekać na przystojową manę, w 1983 r. z inicjatywą RM PRON zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Szpitala Rejonowego w Lubaczowie (przez kilka lat szefował mu ROMAN BOGUSZ, a obecnie JAN MATERNIAK). Wielu mieszkańców opodatkowało się, na konto komitetu wpływają też odpisy z zysków zakładów pracy. Na koniec ub. r. na koncie było 29 mln zł, z czego sam Lubaczów wpłacił 24 mln zł, a reszta pochodziła z okolicznych gmin. Udział niektórych jest jednak mniej niż symboliczny — np. gmina Horyniec Zdrój wpłaciła na ten cel... 2225 zł, a Stary Dzików — 9 tys. zł. Natomiast inne gminy znacząco więcej: np. Lubaczów — 2,5 mln zł, Cieszanów — 1,5 mln zł, Narol — 808 tys. zł. Warto zauważyć, że mieszkańcy byłego powiatu lubaczowskiego stanowią ok. 82 proc. pacjentów szpitala, ale ich udział w gromadzeniu środków na budowę nowego wynosi zaledwie 18 proc.

Mając to na uwadze, I sekretarz KM PZPR w Lubaczowie zaprosił na spotkanie swoich kolegów z komitetów gminnych byłego powiatu, by zadeklarowali swoje stanowisko w tej sprawie. Również naczelnik miasta oraz szef MRN zamierzają spotkać się ze swoimi odpowiednikami ze wspomnianych gmin i wspólnie zastanowić się nad możliwościami stałego zwiększania konta budowy.

Jak wykorzystuje się już zebrane środki? Za te i inne jeszcze pieniądze wykupiono 10 ha gruntu pod budowę, zbudowano stację trafo, przyszły wykonaw-

ca (czyli miejscowe Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego) zlokalizował tuż obok swojej bazy, WŁADYSŁAW MOKRZYCKI, zastępca dyrektora ds. ekonomiczno - eksploatacyjnych Zespołu Opieki Zdrowotnej w Lubaczowie pokazuje założenia techniczno - ekonomiczne przyszłego szpitala (zapłacono za nie również ze społecznych środków). Na rysunkach obiekt prezentuje się okazale — ma mieć 395 łóżek i być w sam raz jak na potrzeby rejonu.

Oczywiście, w Lubaczowie doskonale zdają sobie sprawę, że koszt inwestycji idzie w miliardy (w cenach z ub. r. jest to 9 mld zł), ale — zdaniem TADEUSZA HEJNOWICZA, I sekretarza KM PZPR — skoro zgromadzone 29 mln zł społecznych środków, to czyż idea ta nie zasługuje na to, aby z kieszy państwowej zasilić ją przynajmniej taką samą sumą? A wtedy byłoby już pieniądze np. na opracowanie dokumentacji kotłowni. Pewne środki udałoby się również uzyskać, gdyby udało się przekonać resort zdrowia, aby... odkupił od Lubaczowa ów projekt typowego szpitala. Ministerstwo nabyłoby niejako prawa autorskie, dokumentację mogłoby odstąpić innym miastom, przymierzającym się do podobnych inwestycji.

Sekretarz Hejnowicz przedstawia również inne — nazwijmy je formalnoprawnymi — argumenty. Otóż w planie wojewódzkim na lata 1986-90 figuruje zapis mówiący, iż w 1989 r. rozpoczęte zostanie opracowanie dokumentacji technicznej pawilonu położniczo - noworodkowego w Jarosławiu i szpitala w Lubaczowie. Jest też mowa, że prace te finansowane będą ze środków na inwestycje przyszłościowe. Ale — w planie wojewódzkim na br. Jarosław jest ujęty, a o szpitalu w Lubaczowie... ani słowa. Po raz kolejny więc spycha się lubaczowską inicjatywę na boczny (ślepy?) tor.

Szefowie szpitala nie chcą już mówić o warunkach, w jakich tam się pracuje, bo już tyle razy zostało to powiedziane. I co? Szpital coraz bardziej zaczyna przekształcać się w... oddział geriatryczny. Objemuje on swoim zasięgiem ok. 56 tys. mieszkańców (nie licząc kuracjuszy z horynieckich sanatoriów, przez które rocznie przewija się ok. 5 tys. osób). Szpital w Lubaczowie byłby klinicznym zapleczem dla uzdrowiska, w którym właśnie przystępuje się do budowy nowego zakładu przyrodolecznego.

Szef MRN uważa, że takie zapisywanie w planie, a później „zapominanie” podważa wiarygodność władz. Już dzisiaj zadaje sobie także pytanie, co gospodarze miasta powiedzą mieszkańcom o budowie szpitala w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu.

Jak dotąd lubaczowskiej inicjatywie nikt nie powiedział „nie”, ale też nikt nie powiedział „tak”. Władze wszystkich szczebli rozumieją potrzeby, przyznają rację, ale bezradnie rozkładają ręce i powiadają — jeszcze nie teraz, na razie musicie poczekać, nie ma pieniędzy na ten cel, bo budujemy przecież szpital w Przemysławiu, który będzie wojewódzki.

ADAM WOSZCZAK, naczelnik Lubaczowa rozumie wszystkie racje, ale sprawę stawia jednoznacznie — dla niego, jako szefa administracji, najważniejsze są trzy inwestycje — szpital, kotłownia i oczyszczalnia ścieków.

Trudno się dziwić uporowi gospodarzy miasteczka słynącego z gospodarności, wystarczy tylko przypomnieć, że gdyby łatwo składali broń, to do dzisiaj w Lubaczowie nie byłoby np. dworca autobusowego czy hali sportowej. Wierzą zatem również, że i inicjatywa budowy szpitala „wiedzie” wreszcie na właściwy tor. Cieszą się też szukają nowych sojuszników — do tego grona pozyskali już m. in. ks. biskupa prof. MARIANA JAWORSKIEGO, administratora apostolskiego archidiecezji w Lubaczowie, który nie tylko życzliwie odnosi się do tej inicjatywy, ale podejmuje też konkretne starania o uzyskanie środków na budowę szpitala.

Tymczasem wiec przypominajmy konto, na które wolać można pieniądze na ten cel: Bank Spółdzielczy w Lubaczowie, nr konta 963237-6419-132.

Cz. DUSKO
Fot. R. PAWLOWSKI

Pisanki wodą polewane



Rys. EDWARD KMIECIK

Święta posiadają swoją symbolikę i liczne tradycyjne atrybuty, nie wspominając już o bogatej obrzędowości. Wielkanocne pisanki, wielkanocny baranek, wielkanocne potrawy... — długo można by ciągnąć tę wyliczankę. Poprzestaśmy więc na jednym, ale chyba najpopularniejszym wielkanocnym atrybucie — pisance. A jak pisanka, to warto też przybliżyć praktykowany do dziś zwyczaj „śmigusa-dyngusa”. Czy malowane jaja mają coś wspólnego z „lanym poniedziałkiem”? Okazuje się mają. I zestawienie to wcale nie jest przypadkowe.

Malowane

Zwyczaj okazjonalnego malowania jaj ma bardzo stary rodowód. W Polsce jest prawdopodobnie równie stary jak wprowadzenie wiary chrześcijańskiej. Pisanki zwane także piskami czy kraszankami upowszechniły się bardzo szybko. Mało tego, wykształcił się bogaty i zróżnicowany pisankowy rytuał.

bitki” — polegała na toczeniu pisanek po stole i uderzaniu jedną o drugą. Zwycięzał ten, którego pisanka ostała się cała. Podczas tej zabawy każdy z uczestników stawiał sobie jakieś osobiste życzenie. Zwycięzca mógł liczyć na rychłe spełnienie się życzenia.

Pisanki były również bardzo popularnym podarunkiem, o symbolicznej wymowie. Ofiarowano je najbliższym i przyjaciółom. Specjalne zdobienia wyrażały bogatą gamę uczuć i życzeń. Bywał to niekiedy specjalny kod towarzyski. To, co nie powiedziały usta, mogła wyrazić ofiarowana pisanka. Tę formę załatów stosowano w niektórych regionach kraju. Chłopak wręczał dziewczynie pisanek, deklarując tym samym swoje uczucia. Przyjęcie podarunku „nie było jeszcze oznaką pewnej akceptacji i wzajemności uczuć. Dziewczyna musiała się zrewanżować, oddając w zamian swoją pisanek. Czasami robiła to od razu, niekiedy mogła się nieco poprzekomarzać i przez jakiś czas trzymać amanta w napięciu. Nieprzyjęcie upominku było równoznaczne z odrzuceniem załatów. Niefortunnie zalotnikowi pozostawała wtedy „zabawa w bitki”, gdzie z desperacją rozbijał jaja przeciwników, życząc sobie w duchu, by w następnym roku jego pisanekowe podchody zakończyły się pełnym sukcesem.

Z pisankami wiąże się inny ciekawy i bardzo stary zwyczaj — symboliczne dzielenie się jadłem ze zmarłymi. W Krakowie, jeszcze w początkach naszego stulecia, odbywały się tzw. „rękawki”. Podczas Świąt Wielkanocnych, na wzgórzu przy mogile Krakusa, rozdawano jadio ubogim. Historycy tłumaczą, iż obrzęd ten był pozostałością po pradawnej stypie, podczas której część pożywienia składano zmarłym, a resztę dawano biednym. Wśród wiktuałów nie brakowało, rzecz jasna, malowanych jaj.

Na wschodnich terenach Rzeczypospolitej powszechny był zwyczaj odwiedzania cmentarzy i taczania po mogiłach pisanek, śpiewano przy tym nabożne pieśni. Biesiadowano przy grobach (zapraszając zmarłych do uczty), a spoza część pożywienia trafiała w końcu do rąk żebraków.

O pisankowych zwyczajach można by długo, ale właściwie należałoby zacząć od tego, w jaki sposób zwykłe jajo przemienia się w pisanek. Sposobów jest wiele, lecz na użytek niniejszego artykułu posłużmy się cytatem z „Encyklopedii staropolskiej” Zygmunta Glogera:

„Zajmują się tem dziś głównie dziewczęta. Farbują jaja w brzojli czerwonej i sonej, w odwarze z lupin cebuli, z kory dzikiej jabłoni, listków malwy, kory olchowej, z robaczków ezerwem zwanych, w szafranie, krokoszu itd. Rysują jajko rozpuszczonym woskiem, aby farba miejsc powoskowanych nie pokryła. Rysowanie zowią »pisanie«, stąd nazwa »pisanki« tak jak dawnych »dzbanów pisanych« czyli malowanych. Upowszechnione desenie mają swe nazwy od wzorów i podobieństw, rysują więc w gałązki, w drabinki, w wiatraczki, w jabłuszka, w serduszka, w dzwonki, w sosenki, w kogutki, w kurze łapki itd.”

Z zapisu tego wolno wnioskować, iż malowanie jaj to dość skomplikowany i pracowny rytuał. Tylko czy ktoś stosuje się jeszcze do tych tradycyjnych wskazówek? Zapewne bardzo nieliczni (a raczej nieliczne — gdyż zajęcie to jest domeną kobiet), nad którymi sterczą etnografowie, by zachować przykłady ginącego już zwyczaju. Natomiast jaskrawo malowane kraszanki (odmiana pisanek) to — jak się okazuje — atrakcyjny towar „przebitkowy” sprzedawany od naszych wschodnich sąsiadów. Co prawda kra-

szanki te są najczęściej drewniane (rzadziej plastikowe), ale kto by sobie w dzisiejszych czasach takim drobiazgiem zawracał głowę.

Obyczaje się zmieniają i motywy malowane na jajach również. Na przykład parę lat temu na przemyskim bazarze można było kupić pisanki z... wizerunkiem członków zespołu „Abba”, „Beatlesów” i innych młodzieżowych idoli. Ciekawe, co też jeszcze ludzie wymyślą, by połączyć tradycję i współczesność?

Polewane

„Lany poniedziałek”, „dzień świętego Lejka”, „śmigus-dyngus”, to dla jednych dobra zabawa, dla innych zaś utrapienie. Zwyczaj to równie stary, jak i malowanie jaj, szeroko opisywany i komentowany, m. in. w znanym dziele Jędrzeja Kitowicza „Opis obyczajów za panowania Augusta III”.

Nazwa „dyngus” wywodzi się od określenia „dyngować” czyli „otrzymywać wykup”. A wykupem tym były właśnie wielkanocne jaja. Dziewczyna, aby ustrzec się od oblewania wodą, mogła wykupić się pisanekami. Co prawda dość nieporęczne bywało chodzenie z takim „wykupem”, a ponadto jaja nie dawały pełnej gwarancji bezpieczeństwa, gdyż nie każdy dowcipniś respektował podarunek. Z tych zapewne powodów z czasem zapomniano o „dyngowaniu” i oblewano się wodą bez dodatkowych ceremonii.

Miejmy nadzieję, że tylko w nazwie dotrwał do naszych czasów inny wielkanocny zwyczaj — „śmigus”. „Śmigać” — czyli „chłostać”, „smagać”. No może nie w tej brutalnej formie, ale zawsze smaganie dziewcząt po nogach jałowcowymi gałązkami czy witekami wierzy lub brzozy w celu otrzymania „wykupu” do najprzyjemniej-

szych obyczajów chyba nie należało. Zapewne niejedna dziewczyna polewana wodą i bita witekami po łydkach marzyła w duchu, aby ten obyczaj jak najszybciej diabli wzięli.

Jak dowodzi wspomniany już Kitowicz, Wielkanocny Poniedziałek przedłużał się niekiedy aż do Zielonych Świątek, a oblewano się na najrozmaitsze sposoby.

„Amanci dystyngowani, chcąc tę ceremonię odprawić na amantkach swoich bez lich przykrości, oblewali je lekko różaną lub inną pachnącą wodą po ręce, a najczęściej po gorsie, małą jaką sikawką albo flaszeczką. Którzy zaś przekładali swawolą nad dyskrecją, nie mając do niej żadnej racyi, oblewali damy wodą prostą, chlując garnkami, szklenicami dużymi sikawkami, prosto w twarz lub od nóg do góry. A gdy się rozswawolowała kompania, panowie i dworzanie, panie, panny nie czekając dnia swego, lali jedni drugich wszelkimi statkami, jakich dopaść mogli; hajdacy i lokaje donosili cebraami wody, a kompania dystyngowana, czerpiąc do nich, gonila się i oblewała od stóp do głów, tak, iż wszyscy zmoczeni byli, jakby wyszli z jakiegoś potopu”.

We współczesnych czasach „lany poniedziałek” dosłownie obchodzone na wsi, zaś nieco bardziej symbolicznie — w mieście. Ostatnio proporcje te jak gdyby się zacierały. Nieczęsto spotkać dziś można kawalarza z maleńkim pojemniczkiem napełnionym perfumowaną wodą, za to stałym elementem są bandy wyrostków grasujące z wiadrami i konwiami po nowych osiedlach mieszkaniowych. Cóż, migracja ludności sprawia, że niektóre obyczaje kulturowe nie są z większą niż dotychczas siłą. Choć w przypadku „dyngusa” akurat nie jest to chyba przykład zbyt chwalebny.

DANIEL GALISZ



Rys. HENRYK CEBULA

pisankowe zabawy i ceremonie. Wystarczy zerknąć do kilku podstawowych opracowań o dawnej obyczajowości, aby się o tym przekonać. Już w XIII wieku Wincenty Kadłubek pisał w swojej kronice iż: „Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swemi jak z malowanymi jajkami”.

Jak bawiono się owymi malowanymi jajkami? Różnie. Jedną z takich zabaw, zwana (w zależności od czasu i miejsca) „zabawą w pisanki”, „wałatką” lub „zabawą w

ROZMYŚLANIA PRZY GOLENIU



Jesteśmy narodem uwielbiającym składanie życzeń — życzymy sobie zdrowia, powodzenia, spełnienia marzeń i wielu innych „dobrości” co najmniej kilkanaście razy w roku: w noc sylwestrową, z okazji imienin, urodzin, jubileuszy, różnych „Dni”, no i

święt — Bożego Narodzenia oraz Wielkanocy. Właśnie — Wielkanocy, której czas akurat nadszedł. Nie chcę być gorszy od innych, dlatego też sięgam do okolicznościowego worka i obok „wesołego jajka” — wraz z sercem na dłoni — kładę

przed moimi Czytelnikami co mam najlepszego: radość z życia (choć do lekkich ono nie należy), szczyptę optymizmu (na złość pesymistom) i przekonanie o tym, że po latach chudych muszki przyjdzie tłuste (powołuję się na autorytet Biblii).

Wiem, że trudno o cierpliwość

Wiem, że same życzenia raju nie zapewnią, ale jeżeli im trochę pomożemy — biorąc za sojuszników cierpliwość i rozsądek — to doczekamy się spełnienia najskrytszych nawet marzeń.

Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, iż czasem trudno o cierpliwość, jeżeli coś jest denne, a takie wcale być nie musi. Ot, choćby przykład sklepu spożywczego w pawilonie na przemyskim osiedlu Pstrowskiego. Od lat ciągle mają z nim kłopoty okoliczni mieszkańcy — raz zamknięty, raz otwarty... I teraz znowu wywieszono na sklepie kartkę mającą ludzi zadowolnić:

„Brak załogi”. Należy sądzić, że nie ma chętnych do pracy w handlu. Czyżby? A co robią, jeżeli nie handlują, ci wszyscy „przebitkownicy” wyjeżdżający w świat „turystycznie”? Ludzie więc są chętni do zarobku — trzeba im to tylko umożliwić. Jak? Dawał kiedyś receptę w telewizji minister handlu — dlaczego przemyskie „Społem” nie chce z niej skorzystać?

Moje specjalne życzenie dla Zarządu Oddziału PSS: „.....” (musiałem wykropkować, bo to są słowa niecenzuralne).

JÓZEF GOTAR



Zacznijmy od anegdoty. Dwaj przyjaciele opowiadają sobie różne dykteryjki.

— Wyobraź sobie — mówi jeden z nich — w moich stronach panuje taki przesąd, że w miejscu, w którym samochód potrąci jakiegoś zwierzę, wcześniej czy później to samo spotkać musi człowieka.

— E, to jeszcze nie takiego — odpowiada drugi. — Mam przyjaciela, który celowo dał się potrącić przez samochód, gdyż wierzył święcie, że w tym samym miejscu, wcześniej czy później, spotka to jego teściową!

— Dowcip równie absurdalny, co wiara w przesady — mówi ZBIGNIEW BUTMANOWICZ, pracownik Zespołu Pałacowo-Parkowego w Krasiczynie — wracając do pańskiego pytania, to uważam, że my, Polacy, jesteśmy przesądni w takim samym stopniu jak inne nacje. Cechuje nas w tym względzie pewien pragmatyzm. Jeśli np. interesy idą nam dobrze, to wcale nam nie przeszkadza, gdy nasz kontrahent chce się z nami spotkać w piątek trzynastego. Gorzej natomiast gdy stan naszych interesów jest słaby. Wtedy gotowi jesteśmy uznać taką propozycję za wyjątkowo pechową.

— CZY ZATEM NIE MAMY SZANS NA WYZWOLENIE SIĘ Z PRZESĄDÓW? KONIUNKTURA BYWA, JAK WIADOMO, ZMIENNA...

— Całkowicie z przesądów się nie wyzwolimy. Potwierdzają to przykłady wysoko rozwiniętych społeczeństw zachodnich, gdzie nawet mężowie stanu i inne osobistości ze sfer rządowych zasięgają nierzadko porad wróżbików w sprawach wagi państwowej. Trzeba też wyraźnie ograniczyć przesady i zabobony. Dokonujący się postęp niesie z sobą zmierzch zabobonów, podczas gdy przesady ulegają tylko stosownej modyfikacji. Inne jest bowiem podłoże emocjonalne przesady, a inne zabobonu.

— A CZY PAN JEST PRZESĄDNY?

— Chciałbym odpowiedzieć, że nie, ale... Bardzo niechętnie np. wydaję pieniądze w poniedziałek, bo wiadomo, tak już będzie przez cały tydzień.

Nieco inne spojrzenie na sprawę przesądów ma kierowniczka USC w Krasiczynie ELŻBIETA NIEBIESZCZAŃSKA.

— Społeczeństwo nasze, zwłaszcza młode, jest coraz mniej przesądne. Dawniej nie zawiera-

no ślubów w maju i listopadzie. Dzisiaj mam już zamówione śluby nie tylko na maj, ale i na pierwszego kwietnia! Osobiście nie zwracam uwagi na przesady, choć ludzie mówią, że widok zakonnicy to nieszczęście gołowe, a znów kominarz gwarantuje wszelkie powodzenie. Ja jednak nie przywiązuję do tego wagi. A tak w ogóle, proszę pana, to czy ta nasza rozmowa została uzgodniona z panem naczelnikiem?

Pani N. N., specjalista ds. produkcji w Stacji Hodowli Roślin w Mikulicach (gmina Gać):

— Nie wierzę w przesady. W naszym środowisku też nie spotyka się przejawów wiary w przesady, choć jeśli chodzi o piątek, a w dodatku trzynastego... W piątek nie rozpoczyna się np. ważnych prac polowych, robi się to raczej w sobotę, przed dniem wolnym, kiedy jest nadzieja na rychły odpoczynek po wzmożonym wysiłku... Natomiast z pogranicza kultury i obyczajów — bo na pewno nie zabobonu — zapamiętałam sympatyczny obrzęd włączenia pól w Poniedziałek Wielkanocny, ale i ten zwyczaj już zanika.

— A JAKIE PRZESADY WIĄŻĄ SIĘ Z PRACĄ LEŚNIKA?

Odpowiada MIECZYSLAW GLAZ, nadleśniczy w Krasiczynie:

— Tak w ogóle, to my leśnicy nie jesteśmy przesądni. Inna rzecz łowiectwo. Do dziś np. widok zakonnicy w drodze na polowanie uważany jest za zły omen. Osobiście, gdy czegoś zapomnę wychodząc na polowanie, to nigdy po to nie wracam. Co najwyżej żona poda mi rzecz zapomnianą przez okno, bo trzeba panu wiedzieć, że wówczas już moc złej wróżby nie obowiązuje. Istnieje też powiedzenie: „Jak idziesz na zwierza nie strzelaj do pierza”. W tym przypadku — chyba słusznie — przesąd upatruje niepowodzenie w polowaniu na grubego zwierza w odwróceniu uwagi myśliwego strzelającego do ptaków, od głównego celu polowania.

KRYSTYNA PERZYŁO, dyrektorka Przedszkola nr 11 w Przemysłu odpowiada zdecydowanie:

— Jestem przesądna. Kiedy w poniedziałek zjawia się w pracy „Sanepid” albo w domu goście, to wiadomo: tydzień mam z głowy. Jestem radiesteta i wiem, że przez złe myśli ściągają się na siebie złe fatum... Czy pan zdaje sobie sprawę — pyta pani Krystyna — że wszystko zależy od woli człowieka? Gdyby ludzie czegoś naprawdę chcieli i byli w tym jednomyślni, to z całą pewnością by to osiągnęli.

Mimo zdecydowanej osobowości pani dyrektor, grono nauczycielskie w kwestii przesądów dzieli się wyraźnie na dwa obozy. Starsze panie, albo lepiej te, które wcześniej rozpoczęły pracę, pozostają wyraźnie w kręgu wpływów „szkoly radiestetycznej” swojej szefowej. Natomiast młodzież jest wyraźnie wyemancypowana i „w nie wierzy”. Do grupy „niewierzących” zalicza siebie m. in. HELENA WINIARSKA:

— Nie wierzę w nic, nie mi się w życiu nie sprawdziło.

Tymczasem ANNA WILGUCKA, zastępca dyrektora, jest pełna optymizmu.

— Wierzę w sny i wiem, że wszystko zależy od tego, jak dany sen interpretujemy. Jeśli dobrze, to i skutki będą dobre, a jeśli źle, to skutki będą złe. Zgodnie z tą tezą widziane lub odczytane we śnie złoto, to zapowiedź szczęśliwego wydarze-

nia (osobiście opowiadam się za złotem „otrzymanym” i to najlepiej na jawie), natomiast piękne ogiery, to piękna i udana randka.

Zatem dziewczyny: śnijcie o ogierach!

GRAZYNA RUDNICKA, nauczycielka, zdecydowanie nie wierzy w przesady.

— Uważam jednak, że nasze społeczeństwo jest przesądne.

Większość przesądów, w które „wierzą” sympatyczne panie z przedszkola nr 11, posiada związek z marzeniami sennymi. I tak na przykład: krew oznacza otrzymanie listu Stare wiedźmy (oglądane najczęściej na ekranie) — nieporozumienia, przykrości, obmowy. Małe dziecko, jeśli jest ładne i zdrowe, oznacza rzeczy lub zdarzenia przyjemne, natomiast dziecko brzydkie (czy są takie dzieci?) i chore — przykrości i niepowodzenia.

Parafrazując słowa znanej piosenki można by powiedzieć, że „dziś prawdziwych przesądów już nie ma”. To, co niektórzy uważają nawet za przesąd, bardziej bywa powiązane z obyczajem i tradycją niż z irracjonalną wiarą w skuteczność różnego rodzaju zabiegów magicznych, zaklęć itp. Dokonujący się postęp we wszystkich dziedzinach naszego życia nie pozostawia miejsca dla przesady.

— Kiedyś — mówi nadleśniczy MIECZYSLAW GLAZ — w wieczer wigilijny owijano powrótlami drzewa owocowe wypowiadając przy tym słowa: „zetrze cię, zetrze cię”. Drzewo miało rzekomo odpowiadać: „nie zetrze, bo będę rodzic”. Sens owego tajemniczego obrzędu był bardzo prosty. W omotanym wokół pnia powrótlami zatrzymywały się larwy szkodników, które niszczone z nastaniem wiosny wraz ze zdjętymi z pnia powrótlami. Chronione w ten sposób drzewa odwdzięczały się obfitym owocowaniem.

A zatem czy jesteśmy przesądni? Jako społeczeństwo, to chyba trochę tak. Natomiast indywidualnie, jako jednostki — uchowaj Doże!

JERZY MAKARA

PS. Tekst złożono w redakcji 13 marca — odpukano!

Rzecz o alkoholizmie ■ Starych wspomnień czar ■ Być może

Dobiegam sześćdziesiątki. Dużo to czy mało? Dla mnie na pewno mało, chociaż dla nastolatków po prostu... wapno. No tak. Niewiele już zostało, a tak chciałoby się jeszcze pożyć...

Lecz mimo wszystko ciekawych doczekałem czasów, to nie ulega najmniejszych wątpliwości. Bo pomyślcie: nudzić się nie ma kiedy, bo to i nie bardzo wiadomo co przyniesie jutro; pisać nie bardzo jest o czym, bo co dziś czarne, jutro białym okazać się może... Najlepiej chyba uciec w science fiction. No ale ad rem, tytuł pierwszy czyli „RZECZ O ALKOHOLIZMIE”.

Jaki to pazerny na trunki jest ten nasz naród. Spija alkohol od wieków i spić nie może. Naród taki odporny, czy alkohol słaby? A swoją drogą dopiero teraz, zbliżając się ku ziemie swego żywota, dowiedziałem się tyłu paskudnych rzeczy o tym trunku. Jakoś drzewiej się o tym tyle nie słyszało, a warunki były gorsze, dużo gorsze.

Egzystowało np. w Przemysłu kilkadziesiąt knajp, szynków, restauracji i jak tam się jeszcze to paskudztwo zwało. Zarabiali wyszczytanie na siebie (bez dotacji), wyciągając resztkę groszy z kieszeni wyzyskiwanej klasy robot-

niczej i chłopskiej nędzy. Tuczyl się krwiopijcy na naszym trudzie ani o wypadki drogowe nie stojąc, ani o absencję w pracy. Fakt. Można by na ich obronę znaleźć kilka okoliczności łagodzących. Rzeczywiście trudno było w tamtych czasach wpaść po pijanemu pod przejeżdżającego raz na godzinę fiakra czy chłopską furmankę, a i to furman nawet „pod gazem” to nie to co kierowca jechał czy kamaza. O tych młodych wspaniałych mężczyznach na wspaniałych jednośladach już nawet nie mówię.

I absencja w pracy była jakby odrobinę mniejsza i pijaństwo, bo pracodawca na zbity pysk wyrzucał tych, na których nie zarobił choćby kilku złotych dziennie. Nie patrzył nawet wyzyskiwacz na to czy podpisali listę obecności.

Handlować też ci nasi ojcowie nie za bardzo umieli. Dzisiejszego kupca śmiech pusty ogarnia na samą myśl o takim kupczynie. No bo jak to? Półki sklepowe pełne, a klient jakby łaskę robił. Zamiast grzecznie ustawić się w kolejce i brać co podłeci — grymasił, przebierał. Ba! Nawet czasami na ulicę po niego wychodzić trzeba było. I za co? Za tych kilka nędznych groszy? Ludzie doprawdy ambicji nie mieli.

A reklama? To była reklama? Jakiś tam Wedel czy Delka coś tam nieśmiało robili, a i tak nikt z bezrobotnych na to nie zwracał uwagi. Za to byle jaki, uważający się za kupca człowieczek, podkręcając pejsy, beczelnie ciągnął potencjalnego nabywcę do mieszczącego się niekiedy w suterynie sklepiku „Towary Mieszane i Kolonialne” (gdzie można było dostać dosłownie wszystko) i oferował mu nawet miesięczny kredyt. I jakże tak można?

Pamiętam, na rogu dzisiejszej ul. Janka Krasiczkiego i praktycznie nie istniejącej już ul. Lenartowicza w Przemysłu maleńki sklepik Majorków. Był ów Majorko, a raczej Majorkowa, bo ją lepiej zapamiętałem, kupcem jakich dzisiaj już nie ma. Obsługa uprzejma, uczynna, pomimo hasła: „Nie kupuj u Żyda”. Sklepik zaopatrywał całą lub prawie całą nie najbogatszą dzielnicę w artykuły pierwszej potrzeby...

Miało być o alkoholizmie, a zrobił się „STARYCH WSPOMNIENI CZAR”. Jak ten czas szybko leci, nawet na papierze...

Nie ma już tej dzielnicy, a i ludzie nadający jej charakter

już posiwili lub zgola odeszli na zawsze i bloki tam stoją.

Zniknęły małe, brzydkie domki i ogródki pełne pleniących się w soczystej trawie mleczy. Stały się piękne dziesięciopiętrowe bunkry ze stali i betonu, straszą zwaly brudnej ziemi, gruz i śmiecie nad zanieczyszczonym Sanem...

No i popatrzcie na co mi to na starość przyszło? Wypisuję jakieś głupstwa zamiast zająć się uczciwą fantastyką. Lecz pomarzyć chyba wolno?

Czas już na tytuł trzeci: „BYĆ MOŻE”...

Niestety, to nie science fiction i nie mogę mieć Was mirażem czystych wód naszej Rzeki, ukwieconych jej brzegów, pozamiatanych chodników, uporządkowanej komunikacji, ale być może za rok przy wielkanocnym stole spotkamy się w weselszym nastroju, bo pomimo wszystko wydaje mi się, że idzie lepiej. I stół będzie lepiej zastawiony i kieszonki zasobniejsze... Być może.

A może wszystko to co tu wypisywałem jest brednią? Subiektywnym odczuciem starego

człowieka? Nie. Wierzcie mi. W tym co napisałem nie ma ani krztu zmyślenia, ani słów, których bym się musiał wstydić. Tak było. To prawda. Ale będzie lepiej.

Być może...

ZBIGNIEW PROSTAK



PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

WIATR



KUSZMURUNU

(obszerne fragmenty)

4

(...) Mija dwa tygodnie od chwili wyruszenia z Przemysła — zatrzymujemy się ostatecznie. Dalej nie ma toru. Tu wybrano nam kres drogi. Niedawno minęliśmy Czelabińsk i Troick. Miejscowość nazywa się Kustanaj. Kraina nazywa się Kazachstan — Kazachskaja Socjalistyczna Sowietkaja Respublika. W skrócie Kaz-SSR, Kazachstan. Ze Alma-Ata stolica, że, bodaj, siedemnaście obwodów administracyjnych czyli obszarów, że obszar dziesięciokrotnie większy od Polski, tego dowiedziemy się później. Każą się nam spieszyć. Wsiadamy. Oglądamy nowy świat — jakieś przestrzenie rozciągnięte za niskimi budynkami stacyjnymi, stacja także niska, mała, zabudowany budynek rzucony na koniec żelaznej drogi. Nie wiem czy mieliśmy rampę wyładowniczą: kosze, skrzynki, toboły ściągamy chyba z wysokości wagonu. Są samochody, wersja ciężarowych fordów z lat wczesno trzydziestych. Podjeżdżają. Wsiadamy kompletnie wagonowymi. Dwudziestu sześciu ludzi, rzeczy, nasze nadzieje, niepokoje, ciekawość — dokąd to? Wszystko to na jedną awtomaszynę. Nie podskakuję do Skwirzyńskich, z nikim nie rozmawiam, jest robota z wyładunkiem, załadunkiem. Nasi dozorczy w skórnych kurtkach, płaskich skórzanych czapkach, listy im w ręku wiatr przewraca: wywoływanie nazwisk. Nazywam się Bystrzycki. Myślę: zaczęło się, początek, przeistoczenie miana — jak zgubienie paszportu: zmiana ta obchodzi mnie jakby insekty z wagonu wędrowały pod koszulę, jakbym miał dreszcze. Bystrzycki! Nazwa o katorżniczym brzmieniu.

Ktoś już odjechał, wielu czeka na samochód. Niektóre ZIS-y, po przewiezieniu jednych, wracają na następnych. Znak to, że odwożą niedaleko. To trwa kilka godzin. Większość czasu biegam pomiędzy wagonem a awtomaszyną, pomagając innym. Wreszcie nasza kolej. Ruszamy. Ogarnia kurz. Z obrębu stacji wjeżdżamy w płaskie osiedle-miasto. Mało brukowanych ulic, przeważa ubita glina, desek zamiast chodników nie widzę. Budynki niskie — piętrowe całkiem nieliczne. Budownictwo drewniane i gliniane. Okna z okiennicami, z ramami wokółokienkami, widzianymi już gdzieś, może na ilustracji do rosyjskiej bajki, wyglądają rozczulająco: malowane „obowiązkowo” na zielono. Dachy też najczęściej zielone. Żywej

zieleni prawie nie widać, nawet trawy, rozjeżdżanej, wdeptanej w kurz. Kilka wyższych gmachów miga z daleka, obwieszonych transparentami. Nie wpadam na to, że Pierwszy Maja za dwa dni. I trakt. Tuż za zabudowaniami. Szeroki, rozjeżdżony, jak na obrazach Riepina — tam z koleinami po wiosennych roztopach. Od pewnego miejsca nie wiadomo, czy to jeszcze droga, nikiący wart po takim statku, co pływa po ziemi — droga, czy szczerze pole. Z tą chwilą zaczyna się step.

Kustanaj zostaje za nami ze swoją rzeką, o nienaruszonej ani przez carstwo, ani przez władzę radziecką nazwie: Tobol. Słońce mamy z prawej strony. Tutaj, stąd, z wysokości kurz miotającej ciężarówki, widać, że ziemia zagina się, a chmury nad horyzontem są pionowe, jak teatralne kulisy. Mija znużenie po dwutygodniowej jeździe pociągami: po klanganiu szyn, niskim buczeniu parowozu, po dzwonieniu buforów. Pasma nocnych świateł lub lita ciemność pędzącego bezruchu, pochód wszystkiego, w nocy i za dnia — wszystko uciekło w tył, w naszą stronę opuszczoną; na Zachód! na Zachód! (...) Odczuwam smak przynocy, rodzącej pytanie: co będzie tam, po jeździe ciężarówką, poza okrajem ziemi? Czekam się, jakby na podniesienie kurtyny przed początkiem spektaklu: wielka przynoc? Kurtyna — kurtyna nieba. Idzie do góry, coraz to nowe mijamy kraje. Nic nie ma. Za każdym okrajem nic nie wylania się. Pustkowie, zastępną bezbrzeżność — zaprzeczenie oczekiwaniu. Zaprzeczenie nie niesie nic dobrego. Dziś o tym myślę tak: tam, gdzie nie ma nic, mieszka zło — mówią dobrzy ludzie, ponieważ nie jest zaprzeczeniem, a zaprzeczenie jest złem. Dobro jest potwierdzeniem. Dobro, to jest: tak! Zło, to jest: nie! Dobro jest w przedpołudniowej porze, w słońcu chłodnym wiatrem jazdy i wiatrem przestrzeni. Niziućka świeża trawa, ciemniejąca w płytkich zagłębieniach. Misa nieba, obłoki. Słońce przesuwane ku plecom. Jedziemy, jedziemy. Mijamy dalekie chałupki, jakby kolonię grzybów widzianą przez czółgajęcego się. Nasz skórzasty dozorca siedzi w szoferce. Jego rola uległa dialektycznej przemianie. Ze stróża stał się opiekunem — zaraz to wyjdzie na jaw. Ktoś z siedzących kręci się niespokojnie, jest

blady. Walimy w dach szoferki, żeby stanął. Zatrzymujemy się. Kobiety są skrępowane. Skórzasty staje obok szoferki, daszek czapki odsunął do góry. Mówi, że to nic, za chwilę będzie parów. Patrzą na poblada — Zosia Kippówna oddycha z ulgą. Teraz jest w pasach. Wyobrażam sobie, jakby to wyglądało, ale nie jestem ciekaw — jej przykucnięcia, widoku. W ogóle nie jestem jeszcze ciekaw. Kurz mamy w ustach, w uszach. Jankowi Cygankowi oczy bardziej posiwiały od tej mącznej powłoki. Mundek Wasserman wygląda śmiesznie, kosmki czarnego zarostu, golonego rzadko, przebijają mączyste przykrycie: upudrowany biblijny prorok, wzrostem z tych mniejszych; powrócił z pustyni, hamsin piaskiem pokrył spoconą twarz.

Topografia wsi-posiołka, w którym stajemy, jest dziś dla mnie pokretna. Trzymiesięczny tam pobyt zastawił obraz taki, jakbym stał na obrotowej scenie, uniezależniony od otoczenia, ale sam nieruchomy, może nawet przeciwnie: otoczenie, a obrotowa scena wykonywała czynność, dla której została zbudowana: obracała się. (...)

Jak na razie awtomaszyna stawała w posiołku na kilkadziesiąt kroków. Enkawudziśta zachodził do gospodarzy. Wracał, wskazywał kto ma wysiąść, odhaczał na liście. Wskazani gramolili się na zewnątrz, następnym wyładunek rzeczy. Ruszaliśmy, przystawaliśmy znów. Dla nas poszukiwanie jakby większego obejścia. Byliśmy najliczniejsi w naszym wagonie, zdaje się, że i w całym transporcie, obok Skwirzyńskich. Na drugim miejscu stali u nas Wassermanowie. Właśnie: przypadłości losu traktowali jak coś normalnego, może przyzwyczajeni przez stulecia do tułaczki — jeden Wilek Wasserman nie szczędził głośniejszego słowa, Mundek miał stale uśmiech w oczach, polyskiwał srebrnym zębem.

Na stepie

1.

Ukraiński gospodarz przyjął nas bez słowa. O potrzebie przyjęcia przekonywało, też bez słowa, samo pojawienie się czerwonej czapki z niebieskim otokiem.

Odstąpili większą izbę o świeżo wylepionej polepie, kolor złoty, aż szafranowy. Z ikonostasem w rogu. Sami zajęli mniejszą izbę, po drugiej stronie sionki, i kuchnię. Myśmy gotowali na tej samej blasze, ale kucharzenie to królestwo babci, z całkiem innego świata, w moim świecie nie zostawiało śladu. Izba przybrana zielenią, bażkami — trafiliśmy na Święta Wielkanocne (...) Zielone metalowe łózko, tuż przed wywózką ściągnięte z lamusa, zajęło główne miejsce w izbie.

Nazajutrz odwiedził nas przewodniczący kolchozu: przedsiadatel; Ukrainiec, nieduży, szczupły chłopina, robił sympatyczne wrażenie. Zagadnął jak się nam żyje — pytanie odnosiło się raczej do niewiadomej przyszłości. Pytać — nie pytać przedstawiciela władz, dlaczego wywieźli? — oto jest pytanie. Ontologiczna wartość odpowiedzi — jaka być może? Temat drażył myśli, nie rozmawialiśmy o tym nawet między sobą. Tkwił w naszym milczeniu. Informacje zdobywał głównie dyrektor Kipp, może i Cygankowa, kupiecka jej elastyczność okazywała się pożyteczna. Stało się na tym: status nasz, to status wolnych przesiedleńców, mówiąc inaczej: znaleźliśmy się na wolnej zytyce — nawet nie tyle „znaleźli”, bośmy się tu nie szukali, ile tak zdarzył los. W pojęciu „wolna zytyka” tkwiła nieprawda, przymiotnik był fałszywy, w połączeniu z drugim członem pojęcia dawał sprzeczność wręcz rzeczową: albo „wolni”, albo „zytyka”. Do pracy wychodzić możemy, przydzielą nam robotę stosownie do sił (nie: stosownie do umiejętności — nikt z nas nie miał żadnej stosownej umiejętności), ale wychodzić nie musimy, w kolchozie przymus pracy nie obowiązuje. „Życie jak chcecie”. U mojej matki te słowa jakby wyostrzyły uwagę. Spojrzała na swoją matkę, przerzuciła wzrok na nas — pewnie liczyła w myślach od jednego do sześciu, od sześciu do jednego. Patrzyła na dwa duże kosze, na skrzynki zbite z surowych sosnowych desek, dla wzmocnienia obwiedzione metalową walcówką. Ogarniając oczami i nas, i rzeczy, zadzierzgała związek, ba! — zależność pomiędzy schowkiem na wiktuały, wcale niedużym, koszami mieszczącymi ubrania, w skrajnych okolicznościach posługują do wymiany, a naszą czereďą.

W tej ukraińskiej wsi dziwił brak tubylców — Kazachów. Dziwność podkreślana inną osobliwością: pewną ilością drzew owocowych, później nie spotykanych za nic na świecie, z wyjątkiem kolchozu o nazwie „Pierwomajski”. Chałupy miały ogródki, tak zwane działki przyzagrodowe: kawałek własnego pola trzymali też ci i owi. Bydła niewiele, głównym źródłem utrzymania: ziemia.

Dać znać, gdzie jesteście! W końcu więc — jaki to adres pocztowy. Brzmiał rozwiękle; przestrzennie, azjatycko, obco: Kazachskaja SSR, Kustanajskaja oblasť, Ubożański rejon, Szuwałowski sel-sowiet, posiołek Panowka.

Państwo Dembińscy, których później poznam bliżej — jechali w sąsiednim wagonie — liczyli pięć osób. Pani Maria była żoną generała Stefana Dembińskiego, szefa Kancelarii Wojskowej Prezydenta RP na emigracji. W r. 1920, jako major obejmuje dowodzenie 9

pułku Ułanów Małopolskich po śmiertelnym zranieniu podpułkownika Józefa Dunin-Borkowskiego. Bohater spod Komarowa — została tam rozbita, pod jego dowództwem, siła przebojowa Konnej Armii Budionnego. Z matką był syn Maciej i córka Aleksandra, zwana Totą. Druga pani Dembińska była żoną pułkownika, brata generała, z synem Ryskiem, starszym o dwa lata od Macieja, moim późniejszym przyjacielem.

Kolchozowe debiuty wyrażały siebie w składaniu wizyt. Chodziliśmy do odległej o półtora kilometra Szuwałowki, z kolei Dembińscy odprowadzali nas do Panowki (...)

Nikt z nas nie czuł się źle, nawet babka czuła się dobrze, zmęczenie podróży przegnał ruch i świeże powietrze. Powiedzenie jest powiedzeniem: kiedy nie będzie chroń! nas ani klimat, ani wiktuały, ani administracja, będzie nas chroniła mowa. Powiadano u nas: kończy się babci kaszel. Mowa jako rekojmia, jako przeciwstawienie: znikomej ludzkiej drobiny — obrzymym nacyniu przestrzeni; ochrona przed rozplynięciem. Tak więc powiadano; czyli — wszystko ma swój kres. Babka Zuzanna nie kaszlała. Samo powiedzenie to traktowała tak: każdej biedzie koniec przyjdzie. Na razie, powtarzam, nie biedą szła rzecz, przeciwnie: wspomnianą beztróską. Kolchozowe debiuty w miarę upływu pogodnych, ciepłych dni stawały się coraz skromniejsze, wypychane z porządku dnia; pewnego dnia na puste miejsce wędą obowiązki. Nawet przy wyborze tych obowiązków dominowała zwykła ciekawość, chęć zaznania nowego, jakkolwiek nie brzmi to budząco; dążenie do doświadczenia — jak na wymagającej pewnego trudu dość dalekiej wycieczce. Jeszcze ten sam zapal, przetykany całkiem świeżą pamięcią o domu i nadzieją. Nadzieja wylaczała nam jesień — jesienią wrócimy do siebie. Jesień to pora kiedy się wraca. Ptaki wracają na wiosnę. Ludzie wracają jesienią. Z każdej drogi — podróż przed zimą w domową pielesz. Kres wędrowki. Polska nadzieja.

Skrzykiwano do prac polowych. Chcemy — idziemy, nie chcemy — nie idziemy. Do stracenia było mało. Poszliśmy plewić. Pole pochyłe i duże, drobne buraczane listki, dość spore chwasty. Widziałem czarnoziem, trawę. Przez pierwszą godzinę całkiem zabawna gimnastyka. Przyszła rześkość, jakby w tym schyłaniu się i wyprostowywaniu tkwiła tajemnica dobrego samopoczucia. Moment zniechęcenia ani dobrze dostrzeżony. Przywiodł towarzysza, coraz więcej tego bractwa od niechęci — rzucić to! wracaj do siebie! Zaczął się ból krzyża. Była Torchanowa. Janek Cyganek, Wassermanowie chyba nie brali się do tej roboty, nas dwoje: starsza siostra i ja. Teraz już tylko chodziło o to, by nie dać po sobie poznać zmęczenia. Godzinna przerwa na obiad. Znowu na pochyłą rolę. Słońce na niebie stanęło, ani rusz nie chciało wędrować pomiędzy znakami Zodiaku. Ku zachodniej stronie. Skurczony, pochylony wyrwałem zdźbła, wolno pod stok, krok po kroku.

(c.d.n.)



„JAHORI” znaczy „OGIEN”

DZIEWCZĘTA O BŁĘKITNYCH JAK MORZE OCZACH, KTÓRYM NIE MOŻNA SIĘ NADZIWIC. Chłopcy zgrabni, rumiani, a także podlotki i zupełnie jeszcze dzieci. Wszyscy razem tworzą zespół folklorystyczny pod nazwą „Jahori”. Dlaczego „Jahori”? Dlatego, że to ogień. A dlaczego ogień? Dlatego, że to zespół cygański!

Na Młynkach jest cała kolonia Cyganów drohobyckich, licząca ponad pięćset osób. Starsi ludzie pamiętają jak za czasów Chruszczowa Cyganie, chcąc nie chcąc, rozpoczęli osiedlić tryb życia. Najpierw osiedlili się w Stebniku, gdzie otrzymali pracę.

Ale czy Cygan może pracować pod ziemią? Bez słońca, bez światła dziennego, bez śpiewu ptaków? Wszystko

przemawia za tym, że współczesnego Cygana żadnym sposobem pod ziemię nie zaciągniesz. Tak powstała kolonia na Młynkach.

Szczerze mówiąc miasto nie bardzo się przejmowało swoimi nowymi obywatelami. Tyle tylko, że wydzielono im teren pod zabudowę. A z materiałami budowlanymi 33 lata temu nie było trudno. Młynki, to prawie wieś, choć terytorialnie należy do Drohobycza. Jego mieszkańcy, a także pracownicy miejscowej rafinerii mieszkający po tej stronie rachitycznej rzeki, początkowo krzywo patrzyli na nowe sąsiedztwo. Ale Cyganie znają niepisane prawa i w najbliższym otoczeniu nikomu szkody nie wyrządzali, przynajmniej umyślnie. Z czasem obydwie strony zaprzyjaźniły się — do tego stopnia, że obecnie ni-

kogo nie dziwi, gdy Cygan żeni się z miejscową dziewczyną, choć jest to wbrew niepiśnianemu prawu, którego Cyganie na ogół przestrzegają.

Płynęły lata. Nowi, pełni temperamentu sąsiedzi, przyzwyczajali się powoli do tego, że codziennie trzeba iść do pracy, mieć własny dom. Kierownicy zakładów budowlanych, rafinerii i cegielni, na pytanie: „jak pracują wasi pracownicy?” — odpowiadają niezmiennie: „Dobrze pracują, ale zrozumcie, to Cyganie...”

Będąc na próbie zespołu folklorystycznego, który niedawno powstał, bardziej zrozumieliśmy te „dzieci słońca i swobody”. Szczerze mówiąc nie chcielibyśmy być w skórze baletmistrza drohobyckiego Domu Kultury, PIOTRA

FRISA, który stara się delikatnie poprawić ten lub inny taniec. Daremnie! Cygan nie będzie tańczył tak jak trzeba, tylko tak jak umie. Bo taniec dla Cygana, to jego mowa, to pieśń jego życia.

— I raz — dwa — trzy, raz... — Wykonują poszczególne fragmenty tańca tak, jak sercem czują. — Hop-a, hop-a, hop-a. — Dziewczęce buciki — wydaje się — nie dotykają podłogi, a chłopcy? — ci płyną po scenie! I muzyka pobrzmiwa, a spódnice powiewają, aż się oczy mrużą mimo woli od tych żywych barw.

Następuje przerwa. Młodzi śmiejąc się i żartując jedni z drugimi, udają się za kulisy, a STIEPAN ŁAKATUSZA, pracownik zakładu materiałów budowlanych, zaprasza mnie do pokoju na pogawędkę. Jest on inicjatorem utworzenia tego „ognistego” zespołu.

— Specjalnych trudności nie było — mówi Stiepan. — Przecież każdy Cygan, jeśli nie gra, to musi śpiewać, tańczy natomiast wszyscy.

Stiepan ma ośmioro dzieci, sześcioro z nich jest w zespole. On sam pięknie śpiewa, gra na gitarze, harmonii, akordeonie.

— Gdzie pan się uczył muzyki?

— A kto Cygana uczy? — śmieje się. — To wszystko po mamie i tacie, a może od Boga.

— To dlaczego chodzi pan na próby?

— Bo trzeba się uczyć! — śmieje się coraz głośniej. — My się wszyscy ucymy.

Barwnie ubrani — z racji przybycia fotoreportera — członkowie zespołu wydają się jak nie ci sami, błyszczą jak nowe kopiejkil! Mimo 33 lat znajomości nie można ich poznać na scenie jako artystów! No, ale trudno.

I znów brzmi muzyka, zrywa się pieśń razem z barwną gamą kolorów. Ogień, rozpała się coraz większy i większy, ogarnia wszystkich, artystów i widzów. „Jahori-i-i...”

Próby odbywają się dwa razy w tygodniu. Dyrektor Domu Kultury ADAM KISZKO zaciera dłonie z zadowoleniem. — Oczywiście, ósmego marca damy pierwszy koncert. Sądzę, że nasze panie będą zadowolone. — Dyrektor nie dopowiada wszystkiego do końca, ale ja wiem, co mu się marzy. On nawet we śnie widzi próby następnych zespołów folklorystycznych: polskiego, rosyjskiego, żydowskiego, mołdawskiego... Bo na Truskawczyźnie kwitną narodowe talenty.

IGOR SUSIUK

Fot. IGOR FECIAK

W Lubaczowie niczym W Zielonej Górze

Już po raz piąty z kolei Lubaczów był miejscem eliminacji wojewódzkich XXVIII Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej. W wojewódzkim finale uczestniczyło 16 zespołów i solistów, wyłonionych w eliminacjach rejonowych. Jeśli ci młodzi ludzie, którzy wystąpili w Lubaczowie, znajdą odpowiednich mecenasów i sami nadal będą pracować nad rozwijaniem swoich uzdolnień, można wróżyć im w przyszłości sukcesy. Najlepszy dowód że ci, którzy mają już na swym koncie nagrody w ogólnopolskich festiwalach, jak np. Elżbieta Bernatek czy grupa wokalna AD REM (na festiwalu kołobrzesckim) i starają się szukać własnych sposobów interpretacyjnych — i tym razem okazali się bezkonkurencyjni.

Jury, któremu przewodniczył przedstawiciel Domu Radzieckiej Kultury i Nauki w Katowicach Edward Gołowski, przyznało w kategorii solistów ex aequo dwa pierwsze miejsca Elżbiecie Bernatek z Klubu Garnizonowego w Przemyślu i Danielowi Franusowi z LO w Lubaczowie. Drugie miejsce zdobyła Beata Trubas z Zespołu Szkół Medycznych w Przemyślu, a trzecie Beata Borkowska z GOK w Lisich Jamach.

W kategorii zespołów wokalnych główna nagroda przypadła grupie wokalnej AD REM z MOK w Jarosławiu, drugie miejsce zdobył zespół ze Studium Nauczycielskiego w Przemyślu, a trzecie duet: Janusz Szklany i Witold Klatka z LO w Lubaczowie.

Ponadto przyznano dwa wyróżnienia — Annie Cozac z LO w Lubaczowie i zespołowi Bieszczadzkiej Brygady WOP „Przemysłowcy”.

Na eliminacje międzywojewódzkie do Tarnowa wytypowano Elżbietę Bernatek, Daniela Franusa i grupę AD REM. (m)

Konkurs

„BRZASK I ZMIERZCH...”

... pod takim hasłem redakcja „Gazety Krakowskiej” ogłosiła IX Ogólnopolski Otwarty Konkurs o Nagrodę im. ADAMA POLEWKI. W komunikacie czytamy m. in.: „Brzask nowego dnia, świt nowego kształtu naszej demokracji w upodmiotowionym społeczeństwie wymaga, byśmy naszą pańską wzmocniali przeobrażenie rzeczywistości w lepszą, bardziej racjonalną, szczęśliwszą. A równocześnie przyspieszyć trzeba zmian tych wszystkich naszych wad i przywar, struktur i doktrynalnych ograniczeń, które nie pozwoliły dotąd rozwijać się Polsce na miarę aspiracji. Pragniemy więc — nie ograniczając rozmiaru prac, wyboru tematów ani charakteru wypowiedzi — uzyskać wsparcie dla tych wszystkich reform, dokonujących się w życiu społecznym, które służą postępowi i których nieodłączną cechą jest niezależność myśli i odwaga czynu. A równocześnie oczekujemy bezkompromisowej krytyki tych postaw i zjawisk, które ów upragniony brzask pomysłniejszego jutra powstrzymują.”

W konkursie przewidziano 17 nagród o łącznej wartości blisko miliona zł (i nagroda — 150 tys.). Termin nadsyłania prac (w trzech egz. maszynopisu) pod adresem „Gazety Krakowskiej” (31-072 Kraków, ul. Wielopole 1) upływa 10 maja br. Do przesyłki — opatrzonej dopiskiem „Konkurs im. Polewki” — należy dołączyć zaklejoną kopertę z godłem autora na wierzchu, zawierającą wewnątrz nazwisko i imię autora oraz jego adres. Prace wcześniej publikowane nie będą rozpatrywane.



WIELKANOCNE BABY

„Babo, o babo przedziwnego smaku!
Zdobi cię lukier różanymi wzory,
Kolorowego nie szczędono maku,
I w czub ci wpięto pęk bukszpanu spory!”
(Sonet z XIX-wiecznej literatury
humorystycznej).

Takie baby wielkanocne — „podobne wie-
żom... zadziwiające ogromem, a jeszcze więcej
lekkością” — były osobliwością i chlubą sta-
ropolskiej kuchni, rdzennie polskim specjałem.

Samo pieczenie bab było zawsze wielkim wy-
darzeniem. Już w poniedziałek albo wtorek
Wielkiego Tygodnia zaczynano przygotowania:
tarto cukier z głów, przebijano rodzynki, mo-
czono szafran w wodce, mielono migdały, tłu-
czono w moździerzach wanilię, gdyż prace te
— jak twierdziła słynna pani Cwierciakiewiczowa — „zmu-
dne są, zajmują wiele czasu i
mütręzą”.

Pieczenie rozpoczynało się w Wielki Piątek. Naj-
pierw przesuszano i przesiewano mąkę, a mu-
siała to być mąka najlepsza i najbielsza, staran-
nie oddzielano żółtka, „które powinny być bez
zarodków, bo zarodki ociężają ciasto”. Setki żół-
tek mocno rozbitych, precedzono przez sita,
a potem ubijano w biejce do masła lub uciera-
no w ogromnej makutrze, bo tylko znakomite
ubicie żółtek gwarantowało, że ciasto będzie
lekkie i pulchne. Zabierając się do robienia
drożdżowych bab nigdy nie zapomniano o tym,
że wszystkie składniki, a więc mąka, żółtka,
mleko, masło, a także formy, blachy i wszyst-
kie naczynia muszą być ogrzane. Robiono z
drożdży zaczyn i... od tego momentu rozpoczy-
nało się prawdziwe misterium, rozpoczynano
wyrabianie ciasta. Zamykano drzwi i okna,
uszczelniając je dokładnie, żeby nawet najlżej-
szy przeciąg nie ochłodził ciasta. Ponieważ przy
pieczeniu bab bardzo dużo zależy od doskona-
łego wyrobienia ciasta, po dodaniu każdego
składnika wybijano je przez pół godziny, tak
że samo wyrabianie ciasta trwało niekiedy ca-
ły dzień. Ale za to ciasto było lśniące i gład-
kie, dostawało pęcherzy, podwajało swoją obję-
tość. Wyrobione ciasto nakładano do form, na-

krywano białymi, lnianymi ręcznikami, aby się
„nie przeziębilo” i od tego momentu kończyła
się bieżanina, krzyki, a nawet głośne rozmowy.
Mówiono szeptem, chodzono na palcach.
Gdy baby urosły, delikatnie wsuwano je do
znakomicie wypalonego pieca i rozpoczynały
się chwile nerwowego wyczekiwania. Wyjmują-
jąc najdelikatniej upieczone baby nie rozma-
wiano, ba — wstrzymywano oddech.

„Gdy wreszcie baby upiekły się — pisał Ja-
rosław Iwaszkiewicz — a siedziały w piecu ze
dwie godziny, przy czym cały czas trzeba było
chodzić na palcach i mówić szeptem — na-
stępował dramatyczny moment wyjmowania
z pieca. Wtedy trzeba było wyteńczyć całą utwa-
gę, po to aby się jeszcze gorące ciasto nie wy-
krzywiło (...). W tym celu wprost z form baby
przekładano na poduszki i dziewczęta kuchenne
kotysały je na poduszkach, jak usypiające dzie-
ci, dopóki ciasto nie ostygło. Niezapomniany
był to widok, kiedy prono kobiet z poważnymi
minami kotysały owe baby w obrzędowy
sposób, jak gdyby od tego zależały losy świata”.
A było co kotysać, bo tak przygotowane
baby wyrastały ogromne, „a niejedna czasem w
piecu tak urosła, że się lukta potem prowadzi,
czy babę rozkroić czy się rozwalić, aby babę
z niego wydobyć”. (Leon Potocki).

Świetność staropolskich bab ze Izą w oku
wspominał „Kazet” w wojenną Wielkanoc 1917
roku:

„Wspominam mile błogie chwile,
Gdy otoczone zacnym gronem
Baby — nadobne ich profile!
Ponętą były na „święconem”
Lekka jak puchy Edredonu!
Któż tobą napast się do syta?!
Czyś już spuściła całkiem z tonu
I przeszła wręcz w krainę mitu”.

Tyle o babach, nie podaję przepisu, bo gdzie
dzisiaj znaleźć piec chlebowy, nie mówiąc już
o puchowych poduszkach i dziewczętach kuc-
hennych, a i kuchnie nie takie znowu ogrom-
ne.

HANKA



Mój okrągły stół (humoreska)

— Słuchaj, Julek — żona zaskoczyła
mnie przy śniadaniu. — Nie ma in-
nego wyjścia: musimy nareszcie zasiąść
przy naszym „okrągłym stole”, bo tak
dłużej już być nie może. A do czasu,
nim przygotujesz warunki techniczne,
ogłaszam akcję protestacyjną w kuchni
i sypialni!...

Zbaraniałem do reszty. Co jej odbi-
ło? — próbowałem zastanowić się, ale
po chwili przekonałem się, że to nie
żarty: drugiego śniadania do pracy nie
otrzymałem. — Wiesz, kochanie — za-
cząłem skowronkować — mogą być
kłopoty, bo kto to teraz produkuje
okrągłe stoły... — Marysia nie dała mi
skończyć. — A co mnie to guzik ob-
chodzi — syknęła. — Masz znajomość,
to szukaj. I jeszcze przypominam: obla-
du dzisiaj nie ma, dla ciebie nie ma...

Po dwóch tygodniach głodówki, bo
jak inaczej nazwać menu barów „Spo-
tem”, zdobyłem wreszcie stosowny
mebel. Prywatny stolarz zrobił go eks-
presowo — za sto tysięcy (całe szczę-
ście, że dał mi pożyczkę w pracy).
Gdy objawiłem żonie radosną nowinę,
usłyszałem natychmiast: — Dobrze,
ale przy czym obradować będą nasze
„podstoliki”? Co, mama i tato oraz
dzieci głosu nie mają w tym domu?
...Pędź do baru na te pierogi i to
szybko!...

Minęło jeszcze dziesięć dni, nim
mogliśmy zasiąść wreszcie do negocjacji.
— Otwieram pierwsze posiedzenie ro-
bowe... — rozpocząłem uroczystym
głosem, ale nagle przypomniałem so-
bie, że nie wiemy jeszcze kto jest kto,

to znaczy jakie pozycje ma reprezen-
tować. — Przepraszam, kochanie —
zagadnąłem delikatnie połowicę. — Be-
dziesz, malutka, stroną rządową czy
też, hmm, konsruktywną opozycją?
— Matłonka zmierzyla mnie strasznym
spojrzeniem. Wstała od stołu, rzucając
nań ostentacyjnie przygotowane notat-
ki do dyskusji. — Ludzie, i taki baran,
po 20 latach małżeństwa, ma jeszcze
czelność pytać kto jest kim, kto rządzi
w tym domu! — Marysia wyszła do
drugiego pokoju trzaskając na odchod-
nym drzwiach. Rokowania zostały
zerwane i dopiero po trzech dniach
wznowiliśmy je.

Zasiadłem za tabliczką z wykona-
nym przez młodszą córkę Jadzię napi-
sem „Opozycja”, teś z teściową zajęli
miejsce za „Oficjalnymi związkami”,
choć widać było że papa mojej
ślubnej chętnie przyłączyłby się do ja-
kiegoś innego ugrupowania. Dzieci za-
jęły miejsca za „Organizacjami mło-
dzieżowymi”, a Kryśka włożyła na tę
okoliczność mundurek harcerek. Naj-
bardziej pokrzywdzony był nasz pies
Azor, bo nie dostał przydziału, ale nie
wyglądał na zmartwionego...

Nazajutrz żona sprecyzowała swoje
postulaty. Ludzie, czegoś tam nie by-
ło: lepsza wydajność i efektywność
pracy w domu, wyższy wkład w domo-
wym budżecie, niższe wydatki własne,
likwidacja moich spotkań z kolegami,
a nawet czytania prasy po kolacji!
Oparowałem paroma, nie powiem,
konkretnymi wnioskami, ale już w
kilka minut po zakończeniu obrad
musiałem wynieść się do kuchni wraz
z pościelą. Podobny los spotkał teścia,
który próbował mediować, i odtąd mu-
sieliśmy wspólnie dzielić wąską wer-
salną...

Po tygodniu wielogodzinnych wie-
czorno-nocnych rozmów było mi już
wszystko jedno: miałem szczerą ochotę
podpisać te „uzgodnienia”, których ze
mną — tak naprawdę — nikt nie
uzgadniał. Już sięgałem po długopis,
aby złożyć autograf pod końcowym ko-
munikatem, gdy żona przerwała panu-
jącą ciszę. — Chwileczkę, kochanie.
Zgoda na wynegocjowane warunki
(ciekawe, co ja wynegocjowałem) to
nie wszystko. Musisz przejść próbę.
Na początek tylko miesiąc. Przekonam
się czy jesteś godny zaufania, czy
przypadkiem nie odbije ci i nie zacz-
niesz dążyć do konfrontacji!...

Minęły dwa tygodnie. Nie wytrzy-
małem którejs nocy i cichutko wślizg-
nąłem się do sypialni. — Może coś
wynegocjuję, może skrócę tę próbę...
— obiecywałem sobie. Niestety, „doko-
żono” mi jeszcze tydzień spania obok
przeziębionej chrapającej teściowej i z
Azorem, który nie odmawiał sobie
przyjemności drzemki w naszych no-
gach. Teś też próbował coś wywal-
czyć, ale podpadł i nie dostał od swej
„połowy” nawet 20 złotych na ulubio-
ną lufkę. Skończył mu się też „boki”
z emerytury, bo funkcję inkasenta
przejęła teściowa...

Pewnego wieczoru wymknęliśmy się
do piwnicy, aby w niej urządzić co da-
lej. I urządziliśmy. W godzinę całą
klatkę schodową zdobyły napisy: „Precz
z babską tyranią”, „Wolność dla cie-
miężonych”, „Żądamy sprawiedliwo-
ści”. Cholera, przy ostatnim napisie
złapał nas dozorca i zrobił aferę. Za
chuliński, jak to określono, wybrak
kolegium przywaliło nam po 40 tysię-
cy plus koszty postępowania oraz ma-
lowania klatki od nowa. Dzielnicy
wziął nas pod nadzór i odtąd, całymi
wieczorami, ganiałiśmy po osiedlu ba-
cząc, aby jakiś gówniarz czegoś nie
namalował, bo — zapowiedziano —
pójdzie to na nasze konto...

Któregoś popołudnia spotkała mnie
sąsiadka z szóstego piętra. — Co pan
taki marniutki, panie Julku? — zaszc-
czbiotała. — Może wpadnie pan do
mnie: mąż za granicą, a w rondlu
pyszne flaczki i w barku francuski
koniaczek... — Rzeczywiście, flaczki
były palce liżać, a koniak smakował
mi jak nigdy. Sąsiadka zrobiła na-

strój i zaproponowała brudzia. Nie pro-
testowałem, czując się — nie ukry-
wałem — jak u siebie w domu (ale
przed „okrągłym stołem”). Było już
bardzo późno, gdy spełniając prośbę
Kaśki, poszedłem do jej kuchni, aby
zaparzyć kolejną kawę. Nie wierzy-
łem własnym oczom — w kącie stał...
okrągły stolik, absolutnie nie pasujący
do wystroju tego pomieszczenia! Za-
pytałem, z głupia frant, po co ten
mebel. — To znakomity pomysł, Ju-
leczku — szepnęła radośnie Kasia. —
Dzięki niemu wynegocjowałam u swe-
go starego zagranicznego wyjazdu na
„saksy”. Nie miał innego wyjścia, ha,
ha, ha...

Wybiegłem w środku nocy na ulicę.
Widząc nadjeżdżający radiowóz zaczą-
łem wznosić okrzyki: „Wolności!”,
„Precz z tyranią!” i tym podobne has-
ła. Samochód zatrzymał się i wysiadł
z niego wysoki sierżant. Gdy wyjaśni-
łem mu dlaczego demonstruję, uśmiech-
nął się. — Panie, nie jest pan sam
— zaczął. — Mam to samo u siebie w
domu i dlatego biorę nocne dyżury...

Raźnie szło nam się z sierżantem po
mieście tej nocy. Krzyczyliśmy ile siły
w gardle i ani się spozregaliśmy, gdy
za nami uformował się równie mocno
wrzeszczący tłum podobnych nieszczę-
śników. Punkt ósma rano poszliśmy do
urzędu po zezwolenie na demonstrację
i błyskawicznie przyłączyło się do nas
z piętnastu urzędników. — Idziemy z
wami! — skwitowali krótko. Gdy do-
łączył do nas prezydent, wojewoda i
sekretarz — zatkało mnie. Ale afera...

Przebudziłem się zły potem. Cho-
lera, ale majaki człowiekowi chodzą
po głowie. Z kuchni dobiegł głos żo-
ny: — Jak już wstałeś kochany, to
przyjdź na śniadanko. — Ledwie
wszedłem, „zatkało mnie”: obok lo-
dówki stał... okrągły stół! — Przepra-
szam, kochanie — zapytałem po chwi-
li. — Co to jest? — Żona, cała w uś-
miechu, odpowiedziała: — Nasz okrąg-
ły stół. Wczoraj go kupiłam i nie zdą-
żyłam ci powiedzieć o nim. Bardzo
nam się w domu przyda. Taki ładny,
gustowny...

JULIUSZ PROSTY



Oto ceny, jakie odnotowaliśmy na przemysłowych ciuchach 14 marca:

radzieckie aparaty fotograficzne: „Zenit” — 50—60 tys. zł, zaś „Kijów 16” — 90 tys. zł; szczołka elektryczna do modelowania włosów — 4 tys. zł; czajnik elektr. duży (prod. radz.) — 9 tys. zł; mały telewizor czarno-biały „Junost” — 120 tys. zł; pomadki do ust. — 2 tys. zł; baranki gipsowe — 100—300 zł; mały labędź szklany (prod. radz.) — 300 zł; nożyce do drobiu — 4 tys. zł; 25 dag kawy ziarnistej (prod. radz.) — 3 000 zł; „Wiener Kaffee” 25 dag —

3 900 zł; pisanki drewniane — 180 zł za szt.; rajstopy damskie we wzorki — 1 200 zł; tabliczka czekolady — 600—1 000 zł; zestaw elektryczny (wiertarka dwubiegowa, tarcze szlifierskie oraz piła elektryczna) — 90 tys. zł; spódnice i spodnie dżinsowe tureckie — 35 tys. zł; katany męskie dżinsowe — 75—90 tys. zł; koszyk wiklinowy okrągły — 2 800 zł; para obrączek złotych (4,40 grama) — 115 tys. zł; łańcuszek złoty z przywieszką (2,5 grama) — 85 tys. zł; łańcuszek bez przywieszki (1,5 grama) — 60 tys. zł; kolczyki złote — lezki (2,40 grama) — 78 tys. zł.

Na rynku nabiałowo-owo-cowo-warzywnym:

jajko — 40—45 zł; litr śmietany wiejskiej — 800—900 zł; kg buraków — 120 zł; cebuli — 170 zł; pół kg fasoli „Jaśka” — 400 zł; pół litra bobu — 150—200 zł; brzydkie palmy wielkanocne — 100 zł; małe baranki cukrowe — 100 zł; słomkowy koszyk do święconego — 1 000 zł; pa-proc w doniczce — 3 tys. zł; sadzonki grusz w czterech od-

mianach — 700—800 zł; sadzonki wiśni szklanki — 800 zł; krzew ozdobny „migdalek” — 700 zł.

W jarosławskiej hali targowej:

10 dag kawy — 1 600 zł; wiązka kopru zielonego — 200 zł; kg ogórków — 2,5 tys. zł; główka sałaty — 100 zł; kg fasoli „Jaśka” — 1 100 zł; puszka oliwy z oliwek — 2 400—3 000 zł; trufle 1 opak. — 3 tys. zł; kg cebuli — 220 zł; kakao holenderskie 10 dag — 1 340 zł; wiórka kokosowa 10 dag — 800 zł; paczuska imbiru — 100 zł; kminku — 125 zł; sacharyny — 400 zł; anyżku — 72 zł; kg prosa — 400 zł; zaprawa do wódek — 65 zł za opak.; aromat do ciasta — 70 zł; ustnik do saksofonu — 12 tys. zł; pasek do zegarka — 250—400 zł; czapka męska z daszkiem (filcowa) „Top Gun” — 5 tys. zł; wózek wiklinowy dla lalki — 3 tys. zł; kołyska wiklinowa — 11 tys. zł; jedna frezja — 300 zł.

GOŚKA



z jajem

— Myślę, że nie rozstrzygniemy odwiecznego sporu o to, co było pierwsze: jajko czy kura, ale porozmawiać zawsze warto.

— Sporu rzeczywiście nie rozstrzygniemy, ale jeśli pomyśleć, że już starożytni mieli zwyczaj zacinania ab ovo, czyli od jaja...

— Wiem, wiem, chcesz mi zasugerować, że jednak jajo było pierwsze.

— To właśnie mam na myśli.

— Zdarza się jednak, że bywa i ostatnie, jak to miało miejsce w przypadku pewnej pani, która zaprażyła upiec ciasto, ale w dużym sklepie, w równie dużym osiedlu, było już tylko jedno jajo, właśnie to ostatnie.

— Ale jaja!
— To jeszcze nie koniec. Otóż ta pani kupiła owo ostatnie jajo, lecz po powrocie do domu okazało się, że było ono... nieświeże.

— Miała więc pecha.

— Podobnie zresztą jak inna pani pracująca w punkcie skupu jaj, która zwierzała się swej przyjaciółce, że nie ma szczęścia, w życiu, bo mimo iż od lat „robi w jajach”, to

zawsze trafiają się jej tylko stare.

— Chcesz powiedzieć — nieświeże?

— Tak właśnie chcę powiedzieć, bo jeśli już chodzi o jaja, to podstawową ich zaletą jest właśnie świeżość.



— To teraz już wiem dlaczego w Przemyślu, wśród wtajemniczonych pań, krąży fantastyczne wprost pogłoski o pewnym kupcu oferującym swoim klientkom jaja „duże i świeże”.

— A w ogóle, to z jajami wiąże się wiele innych niesamowitych historii. Jedną z nich słyszałem niedawno. Otóż zdarzyło się, że pewien stróż porządku publicznego nie dość dokładnie powtórzył swoim przełożonym zasłyszana w pewnej kafejce rozmowę pary młodych ludzi płci obojga. A trzeba wiedzieć, że rzecz się działa w czasach, gdy posiadanie określonych precjozów było zabronione. W wyniku owej niedokładności młodemu człowiekowi wywrócono mieszkanie „do góry nogami”, gdyż miał rzekomo posiadać ukryte gdzieś „brylanty jak jaja”. Omyłka wyszła na jaw, kiedy się okazało, że owego wieczoru w kafejce, jego przyjaciółka szeptała mu w zachwycie coś... zupełnie odwrotnego!

— Czego też ludziska nie wymyślą!

— Albo inne wydarzenie. W czasach kiedy w handlu obowiązywało jeszcze hasło: „frontem do klienta” — w jednym ze sklepów nabiałowych w Jarosławiu wywieszono sporych rozmiarów napis: „Kliencie, żądaj przeświecenia jaj!”. O reakcji klientów na owo hasło lepiej nie wspominać!

— Tak, to były dobre czasy! Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego i z okazji świąt, złożmy naszym miłym Czytelnikom tradycyjne życzenia: „Smacznego jajka”.

P. JAJECZNY



SZCZĘŚCIARZ

W związku z przybierającą na sile rywalizacją polskich agencji ubezpieczeniowych, pewne czasopismo zamieściło następujący anons: „Obywatelu, ubezpiecz się przed następstwem nieszczęśliwych wypadków. Wczoraj jeden z naszych klientów wpadł pod rozjeżdżony rower, a już dziś zainkasował trzy miliony złotych z tytułu wypłaty odszkodowania”. Pamiętaj, że już jutro szczęście może się

uśmiechnąć i do ciebie.
(„Karuzela”)

Z PRZYCZYN OBIEKTYWNYCH

Przychodnia lekarska przy ul. Strażackiej w Ciechanowie wezwała na badania jednego ze swoich byłych pacjentów, groząc mu jednocześnie w razie niestawienia się w oznaczonym terminie grzywną w wysokości 50 tys. zł. Pacjent na badania nie przyszedł. Z przyczyny dość zrozumiałej, ponieważ nie żył już od sześciu lat. Kara zostanie uiszczona w postaci manny z nieba. („Na przelaj”).

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Zakład kosmetyczny „Diana” w Gdańsku świadczy u-

ługi dla ludności. Rytualne obżeczenie dorosłego mężczyzny kosztuje 30 tysięcy złotych. Dzieciom przysługuje 33-procentowa zniżka, ale o emerytach ze starego portfela i kombatanckich cicho. Znow będą musieli radzić sobie sami.
(„Przegląd Tygodniowy”)

UCZYĆ SIĘ ZA MŁODU

Stołówka Zbiorczej Szkoły Gminnej w Lipsku (u nas). Ze stołówki korzystają: naczelnik miasta i gminy, urzędnicy, komendant MO, rodziny nauczycieli. A dzieci? Niech za młodu uczą się chodzić do restauracji: gdy organizm młody, wrzód żołądka łatwiej wyleczyć.
(„Polityka”)

Wybrała EWA RYŁKO

Horoskop



BARAN (21 III — 20 IV)

Będiesz świadkiem wielu interesujących zdarzeń. Nie mieszaj się jednak do żadnego z nich. W święta zachowaj dystans wobec gości. Nie musisz wszystkich oświecać prosto z mostu.



BYK (21 IV — 21 V)

Mniej się na baczności, bo zupełnie bezwiednie możesz się wplątać w jakieś intrygi! Ciesz się na świąteczne dni. Uplyną Ci w wyjątkowo radosnym nastroju.



BLIŹNIĘTA (22 V — 22 VI)

Nie macie powodów czuć się nieswojo, bowiem wszyscy rozsądnie myślący są po Waszej stronie. Możecie śmiało chodzić z podniesionym czołem. Nie nabawiajcie się bez potrzeby nowych kompleksów.



RAK (23 VI — 22 VII)

Musisz być wyjątkowo ostrożny w działaniach. Interesu żadnego nie zrobisz, uważaj jednak, abyś nie stracił. Nie wymawiaj się brakiem czasu i jeśli otrzymasz zaproszenie na święta do domu przyjaciół — skorzystaj.



LEW (23 VII — 23 VIII)

Nie znajdziesz chwili wytchnienia, nawet się tego nie spodziewaj, lecz bez szemrania wypełniaj swoje obowiązki. Powinieneś już do nich dorosnąć. Jeśli będziesz sumienny — możesz liczyć na drobną satysfakcję.



PANNA (24 VIII — 22 IX)

Zachowałeś się bardzo nieładnie, by nie rzec — po prostaku. Jak sobie wyobrażasz takie spotkania (a będą coraz częstsze!) w przyszłości? Naucz się kultury bycia.



WAGA (23 IX — 23 X)

Ależ tajemnicza z Ciebie istota! Wzbudzasz zainteresowanie, chadając własnymi ścieżkami, a nie utartymi szlakami. Serce — jak powiada — nie służy. Jeśli pika mocniej na widok tego wymarzonego, nic w tym dziwnego.



SKORPION (24 X — 22 XI)

Konieczność musisz zmienić swoje plany i szybko przestroić się na nowe tony. Będzie to trochę uciążliwe, ale czego się nie robi dla dobrej sprawy. Od Twojej postawy będą zależały losy Twoich najbliższych.



STRZELEC (23 XI — 21 XII)

To wszystko, co odkładałeś, wymagać będzie na gwałt załatwienia. Musisz być na to przygotowany i nie udawać Greka. Szansa na sukces nie taka znów mała. Próbuje więc!



KOZIOROŻEC (22 XII — 20 I)

Nie bądź takim pesymistą! To, że teraz masz kłopoty, nie oznacza bynajmniej przegranej. Wyobraź sobie, że prawie wszystko zmieni się o 180 stopni. Głowa do góry zatem!



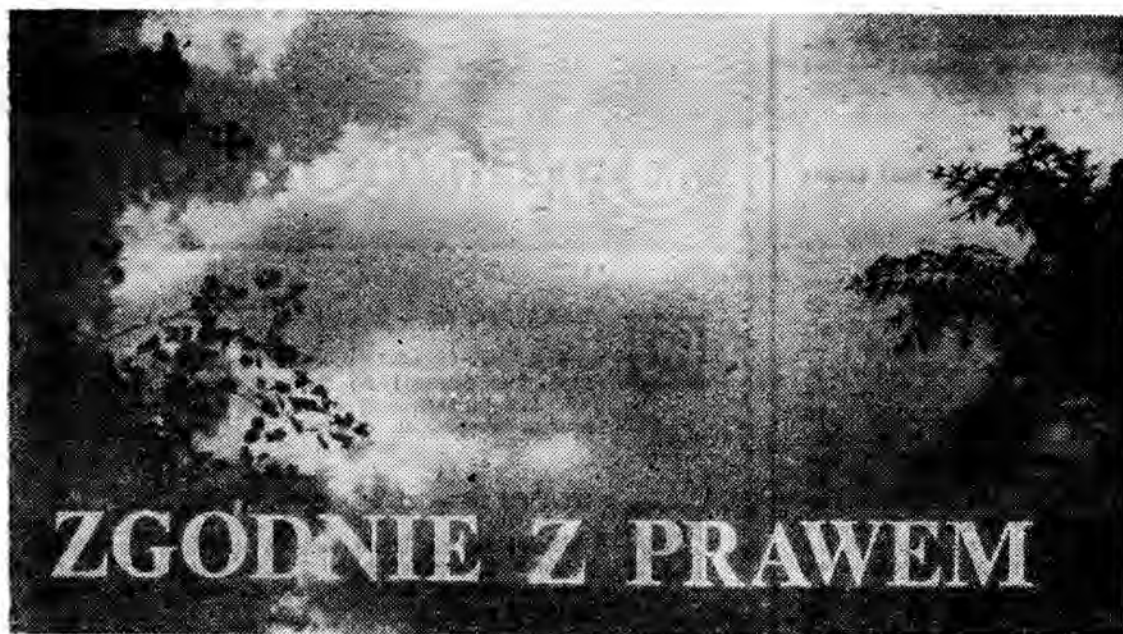
WODNIK (21 I — 20 II)

Całą energię skieruj teraz na sprawy zawodowe. Musisz trochę wokół nich pochodzić. Nie obędzie się bez napięć i spięć. Nie opuszczaj żadnego spotkania, hołdując zasadzie: „Nic o nas bez nas”.



RYBY (21 II — 20 III)

I znow do głosu dochodzą emocje, a rozum spłi! Nie jest to dla Was korzystne, dobrze o tym wiecie, życie jednak chwilą nie zastanawiając się nad przyszłością. Jeśli Wam z tym dobrze, to hołubcie ten swój sposób na życie, ale miejcie wzgląd na najbliższych!



W tej sprawie tok postępowania przed organami wymiaru sprawiedliwości został wyczerpany. Ani sąd rewizyjny, ani minister sprawiedliwości nie znaleźli podstaw, by uczynić zażalenie poczuć sprawiedliwości ludzi, którzy są głęboko przekonani, że dzieje im się krzywda, że padli ofiarą ludzkiej zachłanności usankcjonowanej powagą prawa.

Feralna umowa

Dom Ignacego i Marii B. z Kostonic (gmina Zurawica) jest już stary i wkrótce zostanie zastąpiony nowym właścicielem. Nic więc dziwnego, że obydwoje małżonkowie od pewnego czasu zaczęli się zastanawiać nad możliwością budowy nowego domu. Jednakże na przeszkodzie temu zamierzeniu stał brak odpowiedniej działki budowlanej.

Rozwiązanie przyszło nieoczekiwanie, kiedy — mieszkająca wówczas w innej wsi — Stanisława K. postanowiła sprzedać siedmioosobową działkę przylegającą do posesji małżonków B. Szybko się więc dogadali i w styczniu 1988 r. stali się — za jedyne 125 tys. złotych — właścicielami upragnionej działki.

Spisano w obecności świadków umowę, w której pomieszczono m. in. następujący zapis: „Działka, którą sprzedaje ob. Stanisława K. jest o powierzchni 0,7 ha, z tym, że sprzedająca zastrzega sobie przejście o szerokości 2 m (...) wzdłuż całej działki do chwili użytkowania przez siebie i swoje dzieci”.

Dalsze postanowienia umowy zawierają określenie ceny kupna (125 tys. złotych), oświadczenie sprzedającej, że „do powyższego gruntu nie będzie rościć żadnych pretensji, ani jej dzieci”, a także stwierdzenie, że „gotówkę za powyższy grunt złożono w całości sprzedającemu w obecności świadków”.

W marcu 1987 r. strony stanęły się przed notariuszem i sporządziły formalną umowę sprzedaży, w której zapisano m. in. rzecz bardzo ważną, a mianowicie: „... działka o pow. 7 arów po nabyciu jej przez Ignacego i Marię B. w połączeniu z (ich) nieruchomością rolną utworzy gospodarstwo rolne o pow. 3,46 ha, zdolne do lewarowej produkcji”. Zacytowałem ów fragment umowy, gdyż wyraża on społeczny i gospodarczy sens dokonanej transakcji.

W umowie zawartej przed notariuszem nie umieszczono żadnej wzmianki o jakiegokolwiek służebności przejścia lub przejazdu, co było — jak pamiętamy — zaznaczone w umowie nieformalnej sporządzonej przed ponad rokiem. Strony uznały widocznie takie zastrzeżenie za zbędne, gdyż faktycznie Stanisława K. posiada dogodny dojazd do swego pola drogą biegnącą równoległe w odległości nie większej niż 30—40 metrów.

Ta właśnie nie zastrzeżona w umowie notarialnej służebność stała się podstawą do przyjęcia przez sąd obywateli instancji oraz ministra sprawiedliwości, że oświadczenie woli złożone zostało przez

Stanisława K. pod wpływem błędu co (zgodnie z art. 84 i 88 k.c.) stanowi wystarczającą podstawę aby

unieważnić zawartą umowę

Zanim to jednak nastąpiło, Stanisława K. zażądała, by nowi właściciele działki udostępniili jej dwumetrową szerokość przejścia do pola. Małżonkowie B. odmówili wychodząc z założenia, że od początku uważali nabyty grunt za działkę budowlaną i okrojenie jej na całej długości o dwa metry uniemożliwiłoby na niej jakikolwiek budowę. Ponadto warunek taki nie figurował w umowie notarialnej.

W odpowiedzi Stanisława K. wystąpiła do sądu. Jej pełnomocnik wniósł o zobowiązanie pozwanej Marii B. do złożenia następującego oświadczenia woli: „...oświadczam, że ustanawiam na swojej działce (...) służebność przejazdu, przejazdu i przegonu szlakiem szerokości 2 m wzdłuż całej działki”, a w przypadku gdyby pozwana odmówiła złożenia takiego oświadczenia — „o stwierdzenie, że umowa sprzedaży zawarta w dniu (...) jest nieważna”.

W uzasadnieniu pozwu pan mecenas pisze, że „...po zawarciu umowy notarialnej okazało się, że wymieniona wyżej służebność w umowie tej została pominięta”. Argumentuje też: „gdyby powódka wiedziała, że służebność ta w akcie notarialnym została pominięta, nigdy by aktu tego nie zawierala. Zawierając ten akt działała ona pod wpływem błędu”.

W tym miejscu przypomnijmy raz jeszcze art. 84 k.c. W paragrafie 3 głosi on: „Można powoływać się tylko na błąd uzasadniający przypuszczenie, że gdyby składający oświadczenie woli nie działał pod wpływem błędu i ocenił sprawę rozsądnie, nie złożyłby oświadczenia tej treści”.

Maria B. nie wierzy jednak, iż powódka działała pod wpływem błędu i nie oceniła sprawy rozsądnie, skoro nawet notariusz sporządzający umowę kupna-sprzedaży zeznał: „nie przypominam sobie żadnej rozmowy z powódką na temat ewentualnego ustanowienia służebności”. Stwierdził też stanowczo, że tekst umowy odczytał stronom przed jego podpisaniem, a „strona sprzedająca wiedziała, że w umowie nie ma ustanowionej służebności”.

Sąd Rejonowy nie dał jednak wiary tym argumentom i wyrokiem z 18 marca 1988 r. ustalił nieważność umowy. Małżonkowie B. nie tylko pozbawieni zostali szansy na budowę nowego domu, ale zapłacili jeszcze koszty postępowania. Kiedy rewizja wniosiona do Sądu Wojewódzkiego nie przyniosła korzystnego dla nich rozstrzygnięcia, sięgnęli po ostatnią szansę jaką była

rewizja nadzwyczajna

W podaniu do ministra sprawiedliwości pełnomocnik małżon-

ków B. napisał m. in.: „Sąd pierwszej i drugiej instancji powołuje się na ustalenia umowy nieformalnej, traktując jakby o tej umowie wyrok, że owa służebność (...) miała być zastrzeżona w umowie notarialnej. Stanowisko to jest zupełnie błędne i świadczy o tym, że albo Sąd niedokładnie lub wcale nie czytał tej umowy — opierając się tylko na tym, co stwierdziła powódka — albo interpretacja tej umowy jest błędna”. Zgłosił też zarzut, iż nie zostało wykazane, że Maria B. podstępnie wywołała u Stanisławy K. błędne przekonanie co do treści zawartej umowy i stwierdził: „powódka ma doświadczenie swojej działki inną drogą, dłuższą o 300—400 m (...), zaś zeznania świadków określające tę odległość od 1 do 5 km należy chyba zasadnie uznać za wyjątkowo tendencjonalne”.

Wypada zgodzić się z panem mecenasem, bo bliższy on jest prawdy niż owi świadkowie, ale tak naprawdę, to odległość od granicy działki będącej własnością Stanisławy K. do drogi, przy której znajduje się jej dom wynosi 230—250 kroków, co piszący te słowa odmierzył osobiście.

Wróćmy jednak do sprawy. W podaniu o wniesienie rewizji nadzwyczajnej pełnomocnik małżonków B. podnosi, iż sąd drugiej instancji nie wziął pod uwagę kosztów poniesionych przez nich i pyta: „Czy interes społeczny i gospodarczy sprawdza się do podbijania cen gruntu od kwoty 30 do 120 tys. złotych, co znajduje odzwierciedlenie w aktach sprawy? (...) To, że powódka pominięła sobie skalkulowała, że mogła osiągnąć więcej, nie ma znaczenia w sprawie, nie równa się to błędowi oświadczenia woli”.

Z braku podstaw

W lutym br. Ignacy i Maria B. otrzymali odpowiedź na swój wniosek o rewizję nadzwyczajną. Czytamy w nim: „Minister Sprawiedliwości stwierdził brak podstaw do złożenia rewizji nadzwyczajnej w tej sprawie”. W uzasadnieniu znane już argumenty: powódka działała pod wpływem błędu i błąd ten uznać należy za istotny.

— W związku z zamierzona budową domu mieliśmy wydatki, m. in. sprzedaliśmy krowę za 55 tys. złotych, za którą obecnie strzymalibyśmy 200 tysięcy. Zniszczeniu uległ szereg materiałów, musieliśmy się pozbyć 10 ton cementu, którego tona kosztuje już 24 tys. złotych. Nie mogliśmy jednak zacząć budowy. Stanisława K. zwraca nam 125 tys. złotych, które w styczniu 1988 r. wzięła od nas za działkę. Co my dziś możemy kupić za te pieniądze? Czy to jest sprawiedliwe? — pyta Maria B.

Niestety, dziennikarz mógł odpowiedzieć tylko, że zgodne z prawem.

JERZY MAKARA

Fot. JAN LEŚNIEWSKI

PORADY

DOŚWIADCZONEGO ZIELARZA

Gnoropa wrzodowa (6)

Rozważania rozpocznę od porad medycyny ludowej. ALOESOWE WINO. Odciąć kilka większych liści aloesu drzewiastego, nie podlewane przez 2 tygodnie. Z umytych i zmiksowanych liści wycisnąć sok i zmieszać go z równą ilością miodu i czerwonego wina. Tę mieszankę przechowywać tydzień w ciemnym i chłodnym pomieszczeniu. Zazywać przez 3 tygodnie — 3 razy dziennie po jednej łyżeczce, przez następne 3 tygodnie — 3 razy dziennie po jednej łyżeczce i przez dalsze 3 tygodnie — z powrotem 3 razy dziennie po jednej łyżeczce.

W opisanym sposobie leczymy wrzody żołądka i dwunastnicy. NĄPOJ Z WARZYW. Umyć dokładnie i poszatkować 100 g ziemniaków, 50 g marchwi, 25 g pietruszki i 25 g selera. Zalać 1/2 l wody, gotować pod przykryciem 15 minut i przecedzić. Do pozostałości dodać tyle wrzątku, aby poprzedzeniu otrzymać w sumie pół litra płynu. Dodać 2 łyżki pszennej otrąb i 2 łyżki zmielonego siemienia lnianego. Przechować do rana w chłodnym miejscu. Rano płyn lekko podgrzać i powoli wypić.

Opisany napój zawiera dużo soli mineralnych i witamin. Czyszcza organizm, zobojętnia nadmiar kwasu solnego i przeciwdziała zaparciom. Stosuje się go przy wrzodach połączonej z nadkwasotą.

SOK Z SUROWYCH ZIEMNIAKÓW. Wyciskamy około 1 l soku z surowych ziemniaków (ale nie z tych „przemysłowych”, wyhodowanych na dużej ilości sztucznych nawozów). Pijemy 3—4 razy dziennie po 1/4 szklanki.

Ziemniaki alkaliczują. Dlatego przy wrzodach z nadkwasotą i takimi objawami, jak odbijanie się, zgaga, bóle brzucha, skłonność do wymiotów — po kilku dniach stosowania soku stan chorego poprawia się, znikają nudności i skłonność do wymiotów. Ilość wypijanego soku można stopniowo zwiększać.

SOK Z LIŚCI POKRZYWY, KRWAOWNIKA I MNISZKA. Wymienione zioła (czyste i świeże) zalać małą ilością przegotowanej wody i wycisnąć przez szmatkę sok. Pić co godzinę po jednej łyżce. Jeżeli „nie podchodzi”, można przyprawić małą ilością miodu lub owocowego soku.

Zabieg stosowany przy wrzodach trawiennych zmniejsza groźbę powstania nowotworu, ususza młodość i skłonność do wymiotów.

NĄPOJ Z LNIANEGO SIEMIENIA. 3 łyżki lnianego siemienia zalać 1/2 l wody, gotować 10 minut, naparzać 30 minut, zlać płyn. Pić raz dziennie przed snem. Napój można przyprawić małą ilością owocowego syropu lub naparu z mięty.

NĄPOJ Z LIŚCI BĄBKI ZWYCZAJNEJ I LIŚCI MNISZKA. Mielimy wyszczególnione zioła (świeże i czyste), zalewamy małą ilością przegotowanej wody, mieszamy i wyciskamy przez szmatkę sok. Pijemy go przy niedokrwistości lub normalnej kwasności soku żołądkowego (lek przeciwwskazany przy nadkwasości).

A teraz recepty z suszonych ziół różnych autorów.

Recepty prof. J. Muszyńskiego:

● Składnikami mieszanki na wrzody żołądka są — korzeń arkni 20, korzeń mniszka lekarskiego 60, ziele glistnika 20. Odwar z łyżki ziół na szklankę wrzątku. Pić po kieliszku na 15 minut przed każdym posiłkiem.

● Składnikami mieszanki na wrzody dwunastnicy są — sproszkowany korzeń żywokostu 20, sproszkowany korzeń rdestu ostrogorzkiego 60, sproszkowany korzeń lukrecji 30. Trzy razy dziennie po łyżce proszku w szklance przegotowanej wody.

Recepty C. A. Klimuszkii:

● Skład mieszanki na wrzody żołądka — kłącze tataraku, ziele tasznika, krwawnika i pięciornika gęsięgo, korzeń prawoślazu, żywokostu, kozłka lekarskiego i mniszka, liście pokrzywy i melisy, kwiat lawendy. Pić 3 razy dziennie po szklance, 20 minut przed posiłkami.

● Skład mieszanki na wrzody dwunastnicy — korzeń arcydzięgla, mniszka, kozłka lekarskiego, prawoślazu, lukrecji i żywokostu, mech islandzki, ziele drapacza lekarskiego, kwiat rumianku i czarnej malwy. Stosować jak wyżej.

Recepty G. F. Szaki:

● Na wrzód żołądka — ziele bożego drzewka 100, kwiat rumianku, kwiat lipy i ziele drapacza po 100, ziele dziurawca, krwawnika, korzeń prawoślazu i liść babki lancetowatej po 50, kwiat nagietka 20. Napar z łyżeczki ziół na szklankę wrzątku pić 2 razy dziennie między posiłkami.

● Na wrzód dwunastnicy — korzeń lukrecji, liść babki lancetowatej, poziomki, borówki czarnej i podbiału, ziele dziurawca i krwawnika, naowocnia fasoli. Zalać łyżeczkę ziół szklanką wrzątku, naparzać 30 minut, pić gorący napar 20 razy dziennie przed jedzeniem.

Recepty B. Pirwita i A. Tilsznera na wrzody trawienne: 1) siemię lniane, korzeń prawoślazu, mech islandzki po 30. Dwie łyżki ziół zalać 2 szklankami zimnej wody, macerować kilka godzin, gotować 5 minut. Przyjmować 5—6 razy dziennie porcjami w ciągu dnia;

2) mech islandzki, siemię lniane, ziele krwawnika, liście pokrzywy po 20, 4 razy dziennie po pół szklanki odwaru.

Recepty dra M. F. Górskiego:

1) na wrzód żołądka — ziele glistnika, rdestu ostrogorzkiego i tasznika, kora wierzby i liście melisy po 30, siemię lniane 60;

2) na wrzód żołądka — kwiat rumianku, lawendy i liście melisy po 20, ziele tasznika i kłącze pięciornika, kurze ziele po 30, korzeń prawoślazu i korzeń lukrecji po 40, kora kruszyny 70;

3) na wrzody dwunastnicy — mech islandzki, siemię lniane, ziele krwawnika, ziele drapacza lekarskiego, liście pokrzywy po 20. Pić 2—3 szklanki odwaru dziennie;

4) na wrzody dwunastnicy — korzeń lukrecji 40, mech islandzki, korzeń kozłka lekarskiego, liście mięty i nasiona kozieradki po 15, kora kruszyny 30. Pić 2—3 szklanki odwaru dziennie.

JOZEF HAWLICKI

Bez „szatańskich werwetów”

Fanatyzm wszelkiego rodzaju, a religijny w szczególności, przybiera niekiedy formy dramatyczne, często przy tym wręcz karykaturalne. Do dziś wielu jest jeszcze takich, którzy gotowi są palić na stosie nie tylko książki innowierców, ale także ich samych, jak w przeszłości palono czarownice.

Życie nie skąpi przykładów — poczynając od „wyroku” wydanego przez Chomeiniego na Salmana Rushdiego za „szatańskie werwet”, a kończąc chociażby na opisywanym nie tak dawno w „Życiu” targu na tle religijnym w Ujkowicach.

Na szczęście są też przykłady pozytywne, świadczące o tym, że można żyć w zgodzie, nie bacząc, kto w jakiego boga wierzy.

Korzyńscy (nazwisko ze zrozumiałych względów zostało zmienione) sprowadzili się do jednej z podprzemyskich wsi niedawno, niespełna dwa lata temu. Byli tu „obcy”, a kiedyś już to wystarczyło, by wzbudzić nieufność miejscowych. Z Korzyńskimi było jeszcze

gorzej. Wkrótce bowiem okazało się, że nie chodzą do kościoła, do którego uczęszczają prawie wszyscy mieszkańcy.

— Dlaczego nie chodzą? — zastanawiano się i szybko wyjaśniono przyczynę. Dowiedziano się, że Korzyńscy, to świadkowie Jehowy.

Nie tak jeszcze dawno temu wyznawcy tej religii (nie tylko zresztą tej) mieli u nas wielu przeciwników całkowicie niemal ich dyskryminujących. Widocznie jednak coś się w ludzkiej świadomości zmienia. W tej wsi widać to wyraźnie.

— Nie baliliśmy się prześladowania — powiada najstarsza z rodu Korzyńskich — bo Jezus też był prześladowany, choć takie ryzyko jest jakby wkalkulowane w naszą wiarę. Znam przypadek, sprzed lat, gdy pewien mężczyzna gonil z nożem za świadkiem Jehowy. Tu jest zupełnie inaczej, a i w innych wioskach, gdzie mieszkają ludzie tej samej co my wiary, sytuacja zdecydowanie się poprawiła. Tolerancja religijna jest dużo większa...

— Czy zna pan rodzinę Korzyńskich? — pytam przypad-

kowo spotkanego mężczyznę. — Znam — odpowiada — bo tu się wszyscy znają. To bardzo uprzejmi i dobrzy ludzie. Słyszałem, że są innego wyznania, ale mnie to zupełnie nie przeszkadza.

Podobnego zdania są także inni mieszkańcy tej wioski, w której w licznym gronie katolików tylko jedna rodzina inaczej nazywa swego boga i inne wyznaje obrzędy.

— Nie narzucają się ze swymi poglądami — mówi pewna kobieta. — Są spokojni, dobrze żyją z sąsiadami.

Najlepszy dowód, że wkrótce po przyjeździe, gdy Korzyńscy zaczęli budować dom, zamienili się z sąsiadem działkami budowlanymi, na warunkach ugodowych, i do dziś są sobie wzajemnie życzliwi.

Do miejscowej szkoły uczęszczają ich dzieci. Między dziećmi różnie bywa, „miliusińscy” potrafią być złośliwi, docinają swym rówieśnikom. A jak jest w tej szkole?

Pani dyrektor i wychowawczynie klas, do których chodzą dzieci Korzyńskich, nigdy nie zauważyły, by spotkały je — z powodu ich religii — jakiegokolwiek przykrości ze strony innych uczniów.

— Wręcz przeciwnie — powiada. — Dzieci są powszechnie lubiane, bardzo pilne, koleżeńskie, chętnie pomagają innym i to od razu zostało dostrzeżone. Najlepszy dowód, że jedno z nich zostało wybrane przez koleżanki i kolegów na przewodniczącego klasy.

I dodają jeszcze, że kiedy w Innej, niedaleko położonej miejscowości, gdzie do szkoły też chodzą świadkowie Jehowy, ich matka prosiła nauczycielkę przed Świętami Bożego Narodzenia, by zwolniła jej dzieci z rysowania choinki i in-

nych świątecznych symboli, nikt nie robił z tego problemu. Tu zaś, na jednej z godzin wychowawczych, gdy nauczyciel mówił o konieczności tolerancji religijnej, wszyscy byli tego samego zdania.

Miejscowy ksiądz proboszcz powiada, że siłą nikogo nie należy nawracać, a już stosownie jakiegokolwiek dyskryminacji byłoby wręcz sprzeczne z zasadami wiary katolickiej. Nie ma więc o tym nawet mowy i nikogo tu nie dziwi, że ktoś może być innego wyznania.

A kiedy proboszcz przywiózł paczkę, pochodzącą z darów zagranicznych, powiedział tym, którzy je bezpośrednio rozdzielali, aby nie zapomnieli o Korzyńskich.

— Wszak są przecież członkami naszej społeczności — wyjaśnił.

Korzyńscy pokazują mi kolorowe czasopisma, wyjaśniające istotę ich wiary.

— Jeśli to kogoś zainteresuje — mówi najstarsza w rodzinie — to my chętnie je udostępnimy i możemy porozmawiać, podyskutować...

Ksiądz proboszcz powiada natomiast, że gdyby Korzyńscy przyszli do niego, to chętnie by z nimi porozmawiał, opowiedział o religii katolickiej, zasadach wiary.

Ale na razie nikt do nikogo nie przychodzi — i nikt nikomu nie wypomina żadnych tam „szatańskich werwetów”, ani nie chce zbawić na siłę...

JAN MISZCZAK

kolegium § karze

Witold Fijałkowski (s. Stanisława, ur. 25.01.1962 r., zam. w Przemysłu) ukarany został grzywną w wysokości 50 000 zł, z zamianą (w razie nieuiszczenia jej w terminie) na zastępczą karę aresztu w ilości 50 dni oraz obciążony kosztami postępowania za to, że 29 XII 1988 r. w przemyskiej restauracji „Podleśna”, będąc w stanie po spożyciu alkoholu, wywołał awanturę, podczas której używał głośno słów wulgarnych, i zaczepiał konsumentów, przez co zakłócił ład i porządek w miejscu publicznym.

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy prezydencie Przemysła zarządziło jako karę dodatkową opublikowanie treści orzeczenia w „Życiu Przemyskim”.

K-97



Bioenergoterapeuta

Na Węgrzech podano oficjalnie ile, nielegalnie, biorąc lekarze zatrudnieni w społecznej służbie zdrowia za różnego typu usługi, które są — zgodnie z przepisami i zawodową etyką — bezpłatne. Ceny są wysokie, usługi bardzo drogie, ale wiadomo, że najdroższe jest zdrowie, więc kto nie chce czekać miesiącami i być pacjentem „niższej kategorii”, ciula forinty i placi.

U nas na ten temat „księgi milczenia”, a jak jest naprawdę, ten tylko się dowiędzie, kto zdrowie stracił. Rzecz na pewno nie dotyczy wszystkich, ale wyjątki, jak wiadomo, potwierdzają tylko regułę.

Niemniej służba zdrowia, co by o niej nie mówić (a raczej nie mówić się dobrze) poczyniła znaczne postępy, czego jednym z dowodów jest chociażby to, że właściciele przestali już prawie intensywnie dawni znachorzy, kiedyś nagminnie praktykujący, szczególnie na wsi. Coraz rzadziej słyszy się o różnych babkach, które „robią za ginekologa”, a także o znachorach — szarlatanach, jak chociażby ten, o którym pisałem przed laty, który to bezpłodność u kobiet leczył przy pomocy sprawdzania, czy jemu uda się je zapłodnić.

Choć na wsi wciąż za mało ośrodków zdrowia i kadry medycznej, mimo wszystko dostęp do lekarza, porównując sytuację, jaka była przed

laty, jest nieporównywalnie łatwiejszy. A mimo to stare powiedzenie: „trzeba mieć zdrowie, żeby chorować” — nadal nie straciło aktualności.

Profesjonaliści wyparli więc znachorów, ale oto od pewnego czasu istnieje nowa grupa „uzdrowicieli”, którzy zwą się bioenergoterapeutami.

Od kiedy nastąpiła moda na ten rodzaj leczenia, który na początku był domeną nielicznych i powszechnie znanych w całym kraju, a nawet za granicą, namnożyło się tytuł bioenergoterapeutów, że gdzie się teraz człowiek nie ruszy i powie, że coś mu na przykład strzykło w krzyżu, już stoi koło niego trzech przynajmniej, którzy chcą go leczyć swymi „prądami”.

Na ten temat mam własne zdanie od dawna i nie będę go rozpowszechniał, ponieważ — jak wspominałem — bioenergoterapeutów jest tylu, że można od nich dostać po mordzie (nie przy pomocy „prądów”, lecz zwykłym), gdyż w większości nie są to nawet szarlatani lecz szaleni fanatycy, którzy sami już uwierzyli, że leczą przez dotknięcie Bóg z nimi, bo jedno jest pewne, że nikomu nie zaskodzą, chyba że jest to Czesław L.

Ten pan Czesław z bioenergoterapią miał tyle wspólnego, że kiedyś przeczytał jakąś uczoną broszurę na ten temat i doszedł do wniosku,

że jest okazja, żeby się trochę rozzerwać.

Czesław L. najogólniej mówiąc, nie mógłby na przykład zostać szefem Pentagonu, ponieważ jego pociąg do kobitek i alkoholu był o wiele większy niż niedoszłego kandydata na to stanowisko w USA, o czym mówiono i pisano z zapalem godnym — jak niektórzy twierdzili — większej sprawy. Inna rzecz, że szef Pentagonu o takich upodobaniach, gdyby tak na przykład był po większej ilości whisky i pielsci namięt — nie sekretarke w pomieszczeniu będącym punktem dowodzenia, mógłby w miłośnym ferworze nacisnąć bosą nogą nieodpowiedni guziczek i cały nasz piękny glob wyleciałby w powietrze. Ale nas interesuje teraz wyłącznie pan Czesław, nie zaś wielka polityka.

Pan Czesław zaś zajął się, jak wspominałem, bioenergoterapią, wierząc przy tym kwiecie że nie ma żadnych predyspozycji do takiego leczenia, natomiast ma ogromne predyspozycje do pań i trunków.

Któregoś dnia bawił on na przyjęciu u znajomych i w pewnym momencie zaczął opowiadać o swej rzekomej wiedzy i możliwościach terapii przy pomocy biopłądów. Zebrani, jak to zwykle bywa, kiedy się mówi o zdrowiu, słuchali go chętnie, a niektórzy byli nawet skłonni poddać się kuracji. On jednak twierdził, że obecnie nie może nikomu pomóc, ponieważ jego biopłady nie działają po wypiciu alkoholu. Obiecał jednak, że gdyby ktoś chciał skorzystać z jego pomocy, chętnie przyjmie go we własnym mieszkaniu.

Wtedy właśnie jedna z pań powiedziała, że jej córka, młodziczka dziewczyna, od dłuższego czasu odczuwa do-

tkliwe bóle głowy, powtarzające się co jakiś czas, że była już u lekarzy, szpikowała się różnymi lekami, odwiedziła także zielarza, ale i ten jej nie pomógł. Głowa — jak bolata, tak boli...

Czesław L. przepił wtedy jeszcze jeden kieliszek, po czym z powagą profesora akademii medycznej odparł, że może przyjąć pacjentkę (a'propos profesorów, to Jerzy Waldorff napisał ostatnio, że profesorem nie jest u nas już tylko ten, kto nie ma wyższych studiów — ale to tak na marginesie).

Pani umówiła się z Czesławem i powiedziała, że odwiedzi go z córką, na co bioenergoterapeuta odparł, iż córka powinna przyjść sama, gdyż on nie uznaje seansów w obecności osób trzecich.

Była jeszcze mowa o honorarium, na co Czesław mocno się oburzył. — Szanowna pani — wykrzyknął — ja nie robię tego dla pieniędzy!

W kilka dni potem zjawilo się u niego dziewczę hoże, wcale nie wyglądające na chorowite, a wręcz przeciwnie — okaz zdrowia Urodziwa, o pięknej figurze, obfitych piersiach, gęstych blond włosach itd. itd.

— Co pani dolega? — zapytał uzdrowiciel Lucyna S. — Głowa — odparła. — Bardzo często mnie boli, mama zdaje się mówić już panu o tym.

— Owszem, ale muszę to usłyszeć z ust chorej. Proszę się rozebrać.

— Ale mnie boli głowa — zdziwiła się Lucyna — więc po co mam się rozbrajać?

W tym momencie wystąpiła wykładu na temat bioenergoterapii, w którym Czesław wyjaśnił jej, iż na ciele człowieka znajdują się miej-

scą szczególnie podatne na działanie biopłądów i dlatego musi się rozebrać. Wymyślał przy tym najrozmaitsze teorie, podpierając się fikcyjnymi nazwiskami „uczonych”. Uwierzyła mu i zdjęła bluzkę.

— Wszystko, kochana, wszystko trzeba zdjąć...

Czesław L. ułożył Lucynę na kanapie i zaczął ją delikatnie masować, już wkrótce okazało się, że najbardziej podatnymi u niej miejscami na działanie jego biopłądów są miejsca najbardziej łagodnie.

Po chwili uzdrowiciel przekształcił się z bioenergoterapeuty prawie w ginekologa i kiedy dziewczyna zrozumiawszy, że ma do czynienia z wyrafinowanym oszustem i erotomanem, chciała zerwać się z kanapy, przytrzymał ją siłą i już nie udało mu nawet, że leczy jej ból głowy.

Zaczęła go drapać, gryźć, krzyczeć, ale on był mężczyzną silnym, a przy tym stanowczym i wcale nie zamierzał rezygnować ze swych niecznych zamiarów. Lucyna S. z największym trudem wreszcie mu się wyrwała, w biegu chwyciła garderobę i rzuciła się do ucieczki. Następnie wszystko opowiedziała mamusi, razem odwiedziły lekarza, który stwierdził u dziewczyny liczne posiniaczenia w miejscach wyraźnie wskazujących na zamiary Czesława, po czym obie udały się na milicję, gdzie złożyły zeznanie.

A później okazało się, że Czesław L. niejedną już „pacjentkę” leczył w podobny sposób, ale niektóre doceniły ten jego sposób terapii i nie biegały na milicję. Może zresztą poczuli się lepiej? Znane są takie przypadki, wcale nie tak znów odosobnione...
JAN M

**WYDZIAŁ OŚWIATY I WYCHOWANIA
URZĘDU MIEJSKIEGO W PRZEMYŚLU**
INFORMUJE RODZICÓW

ubiegających się o przyjęcie dzieci do państwowych przedszkoli na rok szkolny 1989/1990, że:

- ▶ karty zgłoszeń dziecka do przedszkola (wydawane przez dyrekcję przedszkoli) po uzupełnieniu należy złożyć w przedszkolu do 30 kwietnia 1989 r.;
- ▶ w maju rozpoczynają prace społeczne komisje ds. przyjęcia dzieci do przedszkoli na rok szkolny 1989/1990;
- ▶ listy dzieci przyjętych i nie przyjętych zostaną wywieszane w przedszkolach po 25 maja 1989 r.

Ze względu na niewielką ilość miejsc, społeczne komisje działać będą wg zasady pierwszeństwa o przyjęciu dzieci matek (ojców) samotnych, z rodzin zastępczych, domów dziecka, matek-inwalidek I grupy oraz rodziców pracujących zawodowo, najmniej zarabiających. K-92

RADA NADZORCZA w porozumieniu
z ZARZĄDEM PRZEMYSKIEJ SPÓŁDZIELNI
MIESZKANIOWEJ w PRZEMYŚLU

ZATRUDNI NATYCHMIAST

ZASTĘPCĘ PREZESA DS.
INWESTYCYJNO-TECHNICZNYCH

Ubiegający winni spełniać następujące warunki:

- wykształcenie wyższe budowlane + uprawnienia
- staż pracy minimum 8 lat, w tym 4 na stanowisku kierowniczym
- umiejętności organizatorskie i kierownicze
- dobry stan zdrowia

Oferty wraz z dokumentami (kwestionariusz osobowy, odpis dyplomu, opinia z ostatnich 5 lat pracy) należy składać w Dziale Kadr, 37-700 Przemysł, Wybrzeże Kościuszki 70.

SPÓŁDZIELNIA ZAPEWNIĄ MIESZKANIE

93

PREZYDENT PRZEMYSŁA

działając na podstawie art. 27 ust. 1 i 2 Ustawy z 12 lipca 1984 r. o planowaniu przestrzennym (Dz. U. nr 35, poz. 185 z późn. zmianami w Dz. U. nr 24 z 1988 r.)

ZAWIADAMIA

o przystąpieniu do opracowania założeń do planu i projektu miejscowego planu szczegółowego zagospodarowania przestrzennego osiedla budownictwa mieszkaniowego wielorodzinnego „Krakowskie” w Przemyslu.

Obszar objęty opracowaniem położony jest w północnej części miasta stykowo do granicy administracyjnej Przemysła z gminą Żurawica i rozciąga się od szpitala wojewódzkiego w budowie na wschód do linii PKP.

Celem planu jest określenie programu i sposobu zagospodarowania przestrzennego tych terenów dla budownictwa mieszkaniowego na perspektywę roku 2000.

Zainteresowane organy administracji państwowej, jednostki organizacyjne i osoby fizyczne mogą zgłaszać wnioski dotyczące programu i sposobu zagospodarowania tego obszaru.

Uwagi i wnioski należy zgłaszać na piśmie w terminie 2 tygodni od ukazania się niniejszego komunikatu pod adresem: Prezydent Przemysła, 37-700 Przemysł, Rynek 1. K-96

Kol. IZABELI ZIĘBA

wyrazy szczerego współczucia i żalu z powodu śmierci

MĘŻA

składają:

dyrekcja i współpracownicy WZGS „Sch” ZOASPiS w Przemyslu

K-94

ZAKŁAD USŁUG
POLIGRAFICZNYCH
I KSEROGRAFICZNYCH
PRZEMYSŁ
plac Legionów 1
(obok dworca PKP)

WYKONUJE:

- druki akcydensowe
- klepsydry
- metki
- dyplomy
- odbitki kserograficzne

KRÓTKIE TERMINY
CENY KONKURENCYJNE!

G-162

**OGŁOSZENIA
DROBNE**
KUPNO
SPRZEDAŻ

SPRZEDAM motorower „Jawa” w dobrym stanie. Małkowiec 177. G-157

SPRZEDAM kiosk owocowo-warzywny przy ul. Grunwaldzkiej oraz samochód „Nysa”. Wiadomość: Przemysł, ul. Kraszewskiego 2, tel. 68-79. G-160

USŁUGI

USŁUGI! DEZYNSEKCYJ, DEZYNFEKCYJ, DERATYZACJI, odgrzybianie murów, wykonuje szybko, skutecznie i w dogodnych terminach Ireneusz Pantol, Przemysł, ul. Paderewskiego 10/34, tel. 12-15, wewn. 300. Zlecenia telefoniczne przyjmowane są do godz. 9 i po 16. G-149

BIURO POŚREDNICTWA kupna, sprzedaży, zamiany nieruchomości i mieszkań oraz usług kancelaryjnych, prowadzone przez radcę prawnego zaprasza srody, czwartki, piątki w godz. 9-13, 14-16. Przemysł, Okrzei 1, tel. 62-93. G-161

UDZIELAM korepetycji z matematyki. Przemysł, ul. Sikorskiego 2/40. G-114/3

RÓŻNE

ZAGUBIONO zezwolenie na prowadzenie działalności handlowej na nazwisko Wacław Białkowski. G-159

ZATRUDNIĘ rencistę — emeryta w zawodzie murarz z umiejętnością układania płytek. Zakład Malarsko - Murarski, Janusz Rybak, Przemysł, ul. Krasieńskiego 7/51. G-164

ZAKŁAD ŚLUSARSKI w Pralkowcach nr 78a (gm. Krasiecin), zatrudni pracowników w zawodach: spawacz elektryczny, ślusarz, monter. Informacji dotyczącej zarobków oraz czasu pracy udziela się w Zakładzie Ślusarskim w każdym dniu tygodnia oraz w wolne soboty. Dojazd do zakładu autobusem MKS 5 do Pralkowce — most. G-165

KORESPONDENCYJNA Agencja Matrymonialna 78-401 Szczecińsk — poleca fotooferty z całego świata. PG-23/4

MIESZKANIA

POWRACAJĄCY z zagranicy wynajmie samodzielne mieszkanie 2-pokojowe z kuchnią na terenie Przemysła. Płatne za rok z góry. Przemysł, tel. 23-77, po godz. 19. G-158/2

Wszystkim, którzy okazali serce oraz pomagali w przygotowaniu ostatniej drogi

śp. IRENY
ANDRUSIEWICZ

oraz towarzyszyli Jej na miejsce wiecznego spoczynku serdeczne podziękowanie składa

siostra

G-163

UWAGA FOTOAMATORZY!
— U NAS JUŻ REFORMA —

NAJTAŃSZE ODBITKI BARWNE W POLSCE
NA PAPIERZE A G F A

Z filmów wywołanych u nas, przy zamówieniu po 1 sztuce z dobrych:

- małoobrazkowych, format 7x10 — idealny format do albumu — cena 180 zł
- małoobrazkowych i pocket, format 9x13 — cena 150 zł
- małoobrazkowych i zwojowych, format 13x18 — cena 450 zł

TYLKO DLA BOGATYCH

Odbitki na papierze KODAKA — bardzo drogie — bardzo dobre.

Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

**Studio Fotograficzne
A F P
ZAPRASZA!**

Adres: 03-318 Warszawa-Bródnio, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-59,

00-545 Warszawa-Śródmieście, ul. Marszałkowska 72, tel. 28-32-29.

PRACE MOŻNA RÓWNIEŻ NADSYŁAĆ POCZTĄ

KUPIMY małe pawilony lub lokale sklepowe, własnościowe, nadające się na punkty przyjęć w centrum miast wojewódzkich.

K-952/2

UWAGA WYBORCY!

● Radni Wojewódzkiej Rady Narodowej z terenu Przemysła i członkowie Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Przemyslu przyjmują wyborców w sprawach skarg, wniosków i interwencji w każdy wtorek od godz. 15 do 17 w pokoju nr 8 Urzędu Miejskiego, ul. Rynek 1.

● Radni Miejskiej Rady Narodowej z terenu Przemysła, w ramach cotygodniowych stałych dyżurów, przyjmują wyborców w sprawach j.w. w siedzibach poszczególnych komitetów osiedlowych w dniach i godzinach ustalonych przez te komitety.

● Komitet Osiedlowy nr 18 im. Adama Mickiewicza w Przemyslu ma obecnie swoją siedzibę w Przemyskim Ośrodku Sportu i Rekreacji przy ul. Mickiewicza 30.

Stałe dyżury Komitetu Osiedlowego — w każdy wtorek od godz. 17 do 18. K-89

SPÓŁDZIELNIA RZEMIEŚLNICZA
„PRZYSZŁOŚĆ” W PRZEMYŚLU,
ul. Grunwaldzka 13

ZATRUDNI OD ZARAZ:

- KIEROWNIKA MAGAZYNU
- ZAOPATRZENIOWCA

Zgłoszenia kandydatów w biurze spółdzielni przy ul. Grunwaldzkiej 13, tel. 38-27.

Zapewniamy korzystne warunki płacowe.

K-95

Polonia starsza o rok!

Przemyska Polonia — wbrew powszechnej opinii — nie powstała w 1909, lecz w 1908 roku. Błąd przetrwał w świadomości społecznej przez osiemdziesiąt lat. Popelniali go wszyscy: w czasach zaborów, w okresie międzywojennym, tak też jest teraz. Prawdę mówiąc, nikt do tej pory nie przeprowadził gruntownych badań na temat genezy „nie-dziwadiaków”, a wszelką wiedzę na ten temat przekazywano z pokolenia na pokolenie na „słowo honoru”.

Powszechnie uważa się, iż w 1908 roku działacze Towarzystwa Zabaw Ruchowych ze Lwowa przywieźli do Przemysła pierwszą piłkę nożną, a następnie zapoznali miejscową młodzież z zasadami tej nieznanej dotąd gry. W efekcie jesienią tego roku miała zawiązać się pionierska drużyna piłkarska dająca początek „Sanowi”, czyli dzisiejszej Polonii. Ale to nieprawda. Zaprzeczają temu źródła historyczne z przełomu XIX i XX wieku.

Otóż w Przemysku grano w piłkę nożną niemal 15 lat wcześniej niż powstał „San”. Potwierdza to m. in. „Sprawozdanie Dyrektora c.k. Gimnazjum z roku 1895 w Przemysku”, w którym jest mowa także o tym, że gimnazjaliści z ul. Słowackiego uprawiali futbol. Z innych źródeł wiadomo, że kopano piłkę jak kto chciał — bez żadnych zasad (były tylko bramki i sędzia). Grano wówczas nie wedle reguł angielskich, a po „domowemu” — „kupą”. Z biegiem lat tworzyły się dzikie drużyny. W trafikach przemyskich można było już wtedy kupować wiedeński „Sportblatt”, czeski „Sport a Hry” i lwowską „Gazetę Sportową”, która w latach 1900—1901 publikowała przepisy gry. Z gazet tych chętnie korzystała młodzież. I to były „pierwociny” przemyskiej piłki i Polonii, której kolebką było gimnazjum przy ul. Słowackiego.

„Ojcem” Polonii był Bolesław Błażek (na przełomie XIX i XX wieku był profesorem III Gimnazjum we Lwowie, w którym to mieście narodził się polski sport, a jego podwaliny tworzyli — poza B. Błażkiem — także: Henryk Jordan, Eugeniusz Piasecki i Kazimierz Hemerling — przemyslanin z pochodzenia). Profesor Błażek był zapalonym propagatorem futbolu, lekkiej atletyki, turystyki, narciarstwa i innych dyscyplin. W 1905 roku opuścił Lwów i zamieszkał w Stryju, gdzie — wzorem Krakowa i Lwowa — założył park Jordana oraz powołał do życia dwie drużyny piłkarskie — „Czerwonych” i „Niebieskich”, które w 1907 r. przekształciły się w Stryjski Klub Gimnazjalny, a w rok później w Stryjski Klub Sportowy „Pogoń”.

We wrześniu 1907 r. prof. Błażek podjął pracę w I Gimnazjum w Przemysku. Uczyl łaciny i greki, ale nade wszystko poświęcił się sportowi szkolnemu. W tym też roku przyjechał służbowo do Przemysła (z ramienia Towarzystwa Zabaw Ruchowych) sławny publicysta i wydawca pierwszych gazet sportowych — Kazimierz Hemerling, który przez kilka dni, wspólnie z prof. Błażkiem, uczył gimnazjalną młodzież zasad gry w piłkę nożną.

W rok później, w sprawozdaniu dyrekcji I Gimnazjum, czytamy: „(...) Została też zorganizowana jedna drużyna foot-ballowa (association) ze starszych uczniów i odbyła ćwiczenia pod kierunkiem Bolesława Błażka na bieżniach wojskowych”. Używając języka sportowego, ten pionier polskiego sportu stworzył w 1908 roku

Gimnazjalne Koło Sportowe (GKS), które w 1910 r. przekształciło się w samodzielną organizację i zmieniło nazwę na Klub Sportowy „San”.

Zawodnikami GKS byli ci, których nazwiska spotykamy w późniejszym „Sanie”. Oto niektórzy z nich (dane z 1908 r.): Roman Burnatowicz — klasa VIIa, Jan Drzewicki — VIIIb, Michał Toczek — VIIa, Władysław Ziętkiewicz — VIIa, Leopold Worosz — VIa, Emil Dobrzański (długoletni kapitan „Sanu”) — VIc, Józef Kuś (pierwszy prezes „Sanu”) — VIIIa, a ponadto — Wacław Radwański, Józef Chirowski, Adam Parat, Stanisław Bucki, Jan Michalik, Ignacy Walczak, Józef Osifski, Dienstag Chaskiel i inni.

Dokument, który miał uwiarygodnić datę powstania „Sanu”, pochodzi z 18 czerwca 1909 roku („Gazeta Przemyska”), a czytamy w nim, że „Kółko piechurów założył smany w świecie sportowym p. Zdzisław Ritterszild (...) powstały dwie drużyny, uprawiające systematycznie grę w piłkę nożną (...)”. W tej krótkiej notce prasowej nie ma żadnej wzmianki o powstaniu „Sanu” i nie bardzo wiadomo czego ona dotyczy. Nazwa „San” pojawia się po raz pierwszy dopiero 11 września 1910 r.

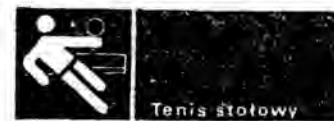
W latach 1908—1914 (a przynajmniej do roku 1910) około 95 procent członków GKS i KS „San” stanowili uczniowie i absolwenci I Gimnazjum. Skład klubowych zarządów tworzyli profesorowie oraz absolwenci tej szkoły, którzy byli też pierwszymi prezesami „Sanu” (Józef Kuś, prof. Bolesław Błażek, prof. Marian Buryński).

Przed I wojną światową „San” posiadał czarno-czerwone barwy klubowe. W 1916 roku Oskar Schorr (przemyslanin pochodzenia żydowskiego) zmienił nazwę klubu na „Polonia” i białe już koszulki oznakowano z przodu dwiema sześcioramiennymi gwiazdami, które częściowo symbolizowały herb Przemysła (w całości przedstawiał on wówczas niedźwiedzia z unoszącą się nad nim 6-ramienną złotą gwiazdą).

Jak widać pierwsze kluby sportowe w Galicji powstały na początku XX wieku i miały swój początek w gimnazjach (także w szkołach realnych). Organizacje szkolne z czasem przekształcały się w samodzielne kluby, przybierając różnorodne nazwy (sławna lwowska „Pogoń” powstała w IV Gimnazjum, przyjmując swoją nazwę dopiero w 1907 roku). Przemyski „San”, podobnie jak inne kluby, podlegał tym samym przemianom. Dlatego też Polonia winna skorygować swoją datę powstania na rok 1908. Przemawiają za tym udokumentowane racje historyczne, które chętnie wykorzystują inne kluby w swoich monografiach.

JÓZEF FRANKIEWICZ

Z boisk i hal



W ostatniej rundzie II-ligowych rozgrywek pingpongistki Nurtu Przemyski uległy na wyjeździe Lewartowi Lubartów 3:10 i Ogniwu Chelm 4:10. Punkty dla nich zdobyli: E. Pstrąg 3 i O. L. Wardega 2 i 2, M. Zubik 2 i 2 oraz para M. Zubik — E. Pstrąg 1. W tabeli prowadzi Wanda Kraków (32 pkt.), która praktycznie już awansowała do ekstraklasy, przed Startem Nowy Sącz (22), Zelmierzem Rzeszów (16), AZS Kielce (14), Lewartem (12), Ogniwem (8), Karpatami Krosno (7) i Nurtem (1 pkt.), a w małych 77:135). Teoretycznie przemyski mają jeszcze szansę utrzymania się w lidze, pod warunkiem... kompletu zwycięstw w czterech turniejach z udziałem Lewartu, Ognia, Karpat i Nurtu, których gospodarzami będą Lubartów, Chelm, Krosno i Przemysł.



KLASA „M”

Piętnasta w sezonie, a druga wiosną kolejka rozgrywek nie przyniosła sukcesów przemyskim zespołom: Czujaw nadal „szuka” formy, a Polonia — po niedzielnym zwycięstwie — „derbach” srebrniła w Polną. Odrobiły straty w inauguracyjnej drużynie Spomassu i Czarnych Pawłosiów, wzbogacił swe konto JKS, a Pogoń udawała, że nie złożyła jeszcze broni.

Polonia — Polna 1:1 (Zawichowski — Szybka; do przerwy lepał „metalowiec”, później dominowali poloniści), Pogoń — Czujaw 2:1

(prowadzili „kolejarze”, ale Pogoń wygrała zasłużenie po strzałach Antonika i Krzyszkowskiego), Spomass — Przełęcz 4:0 (Wyehodnik 2 Pieczek i Sieńko), Czarni Pawłosiów — Start 2:1 (A. Barnak, Maziarek), Karpaty II — JKS 1:1 (Kilar), Czarni, Bieszczady 4:2. Mecze Budowlani — Sanovia nie odbył się (brak gości). Tabela: 1. Czarni Jasło — 23, 2. Czujaw — 20, 3. Karpaty II — 19, 4. Polonia — 18 pkt. Strzelec A. Barnak — 12, Krzyszkowski — 10, Gogosz — 9, Romanow i Szybka po 8, Sakowski — 7, Halajka — 6 bramek.

KLASA „W”

Zuraw — Polna II 1:1 (Lemlech — Kalamon: powtórzony mecz z jesieni).



W Przemysku odbył się kolejny turniej młodzików w stylu wolnym. Najwięcej zwycięstw odnieśli reprezentanci Stali Rzeszów, którzy triumfowali w pięciu kategoriach wagowych. Udanie startowali również „wolniacy” Zurawianki, zdobywając dwa mistrzowskie tytuły. Ich autorami zostali: (47 kg) D. Błażkowski i w wadze ponad 83 kg — A. Ligęza. Drugie miejsca przypadły w udziale: (37 kg) G. Geroniowski i (ponad 83 kg) W. Semenlukowi.



Dzielnie wależyły piłkarki JKS w stolicy a liderem II ligi — stolicejną Skra, będącą o krok od sensacyjnego zwycięstwa w pierwszym meczu, przegranym zaledwie 14:25 (w rewanżu było 16:23). Forma również to i punktów powinno niebawem przybyć...

Bony za plebiscyt

Dawno ogłosiliśmy wyniki 10. plebiscytu na najlepszych sportowców i trenerów regionu, pora na „bilans” nagrodzonych czytelników, którzy wykazali się najlepszym „nosem” przy typowaniu kandydatów. Nikomu nie udało się wytypować wszystkich 15 nazwisk, ale „czternastkami” popisała się rodzina państwa Nyklów z Koniaczoza oraz Władysław Gdaniec z Korzenicy, z tym, że ten ostatni nieco trafniej „wyczuł” układ czołówek. Odnotowaliśmy ponadto 15 „trzy-nastek” i 42 „dwunastki”. Pomiedzy czytelników rozlosowaliśmy bony oszczędnościowe PKO o łącznej wartości 25 tys. złotych. Tylko tyle mieliśmy w naszym plebiscytowym „banku”, którego — niestety — nie zasyliły inne suweniry. W odróżnieniu od poprzednich akcji, tym razem nie zwracaliśmy się do zainteresowanych, jakby się mogło wydawać, klubów i instytucji z szanistymi pismami o wsparcie, a że żaden z bossów nie domyślił się...

Rozdział nagród wygląda następująco:
5 500 zł — Władysław Gdaniec (Korzenica);
4 500 zł — Bogusława i Józef Nykielowie (Koniaczoza);
po 2 000 zł — Tomasz Smyk, Mariusz Godos (oba z Przemysła), Halina Broń (Jarosław), Zdzisław Dzień (Gać);
po 1 000 zł — Kazimierz Mysza (Ostrów k. Radymna), Jan Borysowicz (Cieszanów), Tadeusz Strychacz (Przeworsk);
po 500 zł: Jerzy Bauer (Lańcut), Jan Piątkowski (Kraków), Henryk Cielec (Siennów), Marek Pacuła (Nowosielce), Michał Zawadzki (Przemysł), Mirosław Mazur (Zurawiczki), Ryszard Pinda (Krzywica) i Stanisław Korytko (Węgierka).

Bony wysłamy pocztą.

(bz.)

Reorganizacja wyszła im na dobre

„PRZEPUSTKI” DLA DWUNASTU POLBUTOWCÓW

W bardzo młodym, bo mającym za sobą zaledwie dwuletni okres działalności, przemyskim klubie Polbut mocno obawiano się, że wprowadzona — decyzją Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów — reorganizacja drużynowych rozgrywek pozbawi go statusu pierwszoligowca. Jednak wyniki uzyskane w turniejach strefowych, będących eliminacjami kwalifikacyjnymi do grona 300 najlepszych sztangistów, przesyłały najsmielsze oczekiwania. Podczas jednego z nich, rozegranego w Przemysku, do tej grupy awansowało aż 12 reprezentantów Polbutu. Podobnym osiągnięciem może pochwalić się w kraju zaledwie siedem klubów. Gorsze okazały się m. in.

Sanoczanka Sanok i Lechia Sędziszów Młp., które zdobyły po osiem „przepustek”. Spośród ciężarowców Polbutu najwartościowszy wynik uzyskał członek kadry narodowej seniorów, ubiegłoroczny młodzieżowy mistrz Polski Krzysztof Piłiszko, gromadząc w dwuboju 230 kg (100+130) w wadze do 56 kg, co według tabeli Sinclaira równa się 385,6 pkt. Drugi w kolejności rezultat zanotował Wiesław Skowroński (waga ciała 59,1 kg) — 362,6 pkt. Młody atleta osiągnął 242,5 kg (107+135), poprawiając swój rekord życiowy aż o 12,5 kg i wypełniając tym samym normę I klasy sportowej. Udanie startował także Stanisław Trojnarz (waga 67,2

kg), który uzyskał 272,5 kg (122,5+150), co odpowiada 358,5 pkt. Poprawił swój rekord również Marian Olejarz (waga 62,7 kg), gromadząc 250 kg (110+140) i przynosząc klubowi 351,3 pkt. Następny pod względem wartości wynik (349,4 pkt.) był autorstwa Bogusława Kłojzego (waga 60 kg) — 237,5 kg (105+132), 339,9 pkt. zanotował Jan Onyszko (waga 68,4 kg), który osiągnął 262,5 kg (117,5+145). Niewiele gorszy (339,6 pkt.) był Marian Wyczawski (waga 59,8), uzyskując 230 kg (105+125). Trzeba jednak przyznać, że były młodzieżowy mistrz kraju wystartował w turnieju „z marszu”, bez odpowiedniego treningu i jeśli znów weźmie się solidnie

za ćwiczenia stać go na znaczną poprawę. Przyjemną niespodziankę sprawił zaledwie 15-letni Ryszard Olejarz (waga 40 kg), gromadząc w sumie 127,5 kg (55+72,5), co równa się 327,1 pkt. „Z tej maki powinien być chleb” — mówili o nim w zachwyce szkoleniowcy i obserwatorzy przemyskiego turnieju.

A oto pozostali polbutowcy, którzy „zapalili się” do grona 300 najlepszych sztangistów, którzy zostaną podzieleni na trzy grupy (w każdej po 100 zawodników): Dariusz Stec (waga 84,5 kg) — 292,5 kg (135+157,5), co równa się 325,3 pkt., Janusz Zięba (waga 57,6 kg) — 210 kg (95+115) = 322,1 pkt., 18-letni Zenon Skowroński (waga 62,1 kg) — 205 kg (92,5+112,5) = 290,9 pkt. oraz jego rówieśnik Krzysztof Kotliński (waga 79,4 kg) — 250 kg (110+140) = 288,8 pkt. Warto jeszcze odnotować, że ten osta-

tni, czyniąc błyskawiczne postępy, znów poprawił swój rekord życiowy.

W przemyskim turnieju startowało ogółem 90 zawodników z 10 klubów makroregionu Małopolska. Najlepszych spośród nich czekają kolejne turnieje, które wkrótce odbędą się w trzech miastach kraju. Dopiero po nich ukształtują się ligi: pierwsza, druga i trzecia. Polbut praktycznie ma już zapewnione miejsce w ekstraklasie. I na zakończenie jeszcze jedna refleksja. Każda reorganizacja wprowadza coś nowego. Pewnie tak się stanie i w przypadku zmiany drużynowych rozgrywek w podnoszeniu ciężarów. Ale kibic lubi wyraźny regulamin i chce wiedzieć co jest grane. Jak na razie, w przypadku tej dyscypliny, jest to dla niego typowa „czarna magia”.

(wb)



Krzyżówka świąteczna z hasłem

Pozioło: 13) jeden z wielu w Wimbledonie, 14) filozof z Rotterdamu, 15) duńska uczelniana, 17) pływacz po Odrze, 18) małżonka Zeusa, 19) kościół katedralny, 20) trójkątny żagiel przedni podnoszony na forsztagu, 21) znana z pobytu Napoleona, 22) sympatia Kalego, 23) wyjadacz, 24) muza, opiekunka poezji, 25) magina, 26) znana milejscość w

obwodzie moskiewskim nad Wołgą, 27) nie istniejąca obecnie Centralna Rada Związków Zawodowych, 28) jezioro w Turcji, 29) autor książki: "Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem", 30) rzeka w Polsce, 31) hak — wspak, 32) pisarz francuski, naturalista, 34) droga, trasa, 37) podróz statkiem, 39) miasto nad Sanem, 42) odmiana chalcedonu, 44) rzeka we

Włoszech, 45) boczna linia Plantagenetów, 48) "książka" w języku naszych sąsiadów, 51) kozera, wybrany kolor, 53) zwierzę parzystokopytne — zamieszkuje dżungie Ameryki Południowej, 56) rakiet, 58) kuliznowa, 59) Royal Air Force, 60) duchowny tybetański, 61) Sari, 62) legowisko, 63) rumowisko, 64) do narkozy, 66) stolica Arabii Saudyjskiej, 67) żyjący na

przełomie XVII i XVIII wieku kompozytor niemiecki, wybitny organista — wirtuoz, 68) angielska herbata, 69) miasto w NRD, 70) imię żeńskie z elementarza, 71) do młodości, 72) dwoje, 74) taniec towarzyski, 77) egipski bóg Teb, 79) znany, niezjący już trener bokserki w Polsce, 82) ojciec dla synowej, 84) hola! stop! 85) smarowidło lecznicze, 88) bohater "Stal-

rej baśni", 91) skrzynia, 93) przezrocze, 96) maść konia, 98) gad, 99) to samo co trzydziści poziomo, 100) góry w Anierce Południowej, 101) strus australijski, 102) republika Afryki Zachodniej, 103) Dziedzic, 104) patrol nocny wojskowy, kontrolujący warty w dawnej Polsce, 106) kwiat poświęcony bogini Izydzie, 107) znany pisarz niemiecki, autor "Czarodziejkiej góry", 108) jeden — po niemiecku, 109) wstrząs, 110) wyspa u zachodnich wybrzeży środkowej Francji, 111) woda w stanie stałym, 112) nachylenie powierzchnia góry, 113) miano, 114) nie znający się na danej kwestii, 115) malmirura, 116) krawędź stołu.

Pionowo: 1) zakończenie końskiej nogi, 2) stolica Kanady, 3) spoiwo budowlane, 4) pustynia skalista, 5) naczynie gliniane w starożytnej Grecji, 6) pośrednik handlowy, 7) port we Flandrii, 8) miasto w Iranie nad rzeką Szatt-al-Arab, 9) wulkan na Antarktydzie, 10) stolica Mali, 11) taniec w rytmie mamby, 12) zwierzenie skat, 16) król zwierząt, 25a) zwolennik, 33) waluta na Półwyspie Apenińskim, 35) główna rzeka Europy Zachodniej, 36) cztery metry przestronne drewna, 38) fizyk angielski, od jego nazwiska pochodzi nazwa jednostki pracy, 40) wierzba, 41) wyspy na Morzu Banda, 43) np. szachy, 46) "Cyrulik sewilski", 47) wyspa na... "Mare Internum", 48) jednostka jubilerska, 49) Troja, 50) astronom i matematyk francuski (1785—1853), 51) niezyska sprawa, 52) machina obłężnicza, 53) rodzaj balkonu, 54) kromka chleba, 55) miasto wojewódzkie, 56) stolica Maroka, 57) laluf, 65) miasto na Florydzie, port nad Zatoką Meksykańską, 73) dra pieznik Puszczy Białowieskiej, 75) czeskie "tak" kobieta — wspak, 76) wojenna..., 78) Franciszek Smreczynski, 80) mistrz świata w szachach w latach 1960—1961, 81) miesiąc, 83) żona Adama, 86) ornament głowicy kolumny korynckiej, 87) rodzaj gwoźdźca, 88) arabski demon, 89) biała broń, 90) jezioro w Afryce, 91) słowo honoru, 92) zabYTEK, 93) trzeci okres ery paleozoicznej, 94) imię męskie, 95) tarcica, 96) mały piaz bezogonowy, zamieszkuje też niewielkie zbiorniki wodne w Polsce, 97) pisarz francuski (1823—1892), 105) znana rzeka w ZSRR.

Litery od 1 do 113 z oznaczonych kratek dadzą hasło, które wystarczy nadać jako rozwiązanie.

Termin nadsyłania rozwiązań — TYLKO NA KARTACH POCZTOWYCH Z KUPO- NEM — dwa tygodnie. Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród książkowych.

• • •

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z HASŁEM Z N-BU 8/1104

Hasło: "MADRA KRYTYKA OSWIECA, GLUPIA GAST".

Nagrodę autorską otrzymuje Andrzej Ster- nik z Sanoka.

Nagrody książkowe wylosowali: Elżbieta Starzak z Dąbrówki Starzeńskiej oraz Lu- cyna Płocka i Mariusz Dusilo z Jarostawia.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
13		14	106		15	16	17			18	19
23	65	57	3	20	25	21	26	87	22		
32	61	4	33	29	37	38	39	40	31	27	15
45	46			36	44	77	53		55	56	
47		48	49	50	51	52	54	54	55	57	
58		44	102	59	64	60	66	62	61	67	75
62				66	65	78	79	80	74	82	
68		63	24	69	77	70	85	80	74	83	50
72	53	74	75	76	78	78	79	81	81	83	
85	86	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97
87	10	5		68	54	27	106	49	40	25	91
98	20	13	21	99	100	73	106		101	105	99
102		103	18		104	81	106	86	80	107	51
			22	109	55	23			111	106	
			8		84	94					
112	19	113	96		114	42	115	83		116	41
				46	47	103				60	